MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VII. Nr 14 WARSZAWA, 15 CZERWCA 1927 R. CENA NUMERU 1 zł.

W MĘTNEJ WODZIE

OPINJA polskiego społeczeństwa, przyjmując do wiadomości wynurzenia deklaracyjne stronnictwa Chłopskiego lub Wyzwolenia, zwłaszcza rozglądając się w prasie radykalizującej, doznaje pewnego zdenerwowania z tego powodu, że nie umie zdać sobie jasno sprawy, skąd się bierze taka masowa i natarczywa podaż radykalizmu. Dezorjentuje opinję fakt, że jednocześnie od rządu zwalczany jest obóz narodowy, który temn radykalizmowi daje odpór. Fałszywa sytuacja, wynika stąd, że radykalizm mistyfikuje przez utożsamianie się z rządem. Tu leży największy szkopuł w sprawie uspokojenia atmosfery politycznej, na czem zarówno społeczeństwu, jak i każdemu rządowi musi zależeć.

Koncepcja zwalczania przez rząd jakiegoś stronnictwa jest prosta: „Endecja" (Związek Lud.-Nar.) nie ma być przy władzy. Dobrze, ale dla czego z tego powodu społeczeństwo ma być oddane na pastwę igraszek radykalizmu? Radykalizm polski — korzysta z wszelkich posiadanych środków propagandy (a ma ich — niestety — za dużo), aby wmawiać w opinję, że dzisiejszy rząd jest w jego ręku. Faktycznie jednak — musimy to radykałom przypomnieć — rząd pozostaje w ręku marszałka Piłsudskiego, który dawał do zrozumienia, że prowadzi politykę osobistą.

Na radykalizm w Polsce niema dzisiaj miejsca. Trudno wyobrazić sobie Polaka, który w początkach niepodległości i wśród tylu trosk o elementarne warunki bytu mógłby logicznie i w zgodzie z sumieniem dojść do wniosku, że przewrót społeczny wyjdzie Polsce na korzyść. Tem trudniej wyobrazić sobie rząd, któryby teraz chciał nawracać do czasów Moraczewskiego lub Thugutta. Jakże więc niejasna jest rola owego radykalizmu! Którędyż on chce znaleźć drogę?

Opozycja w danym wypadku jest zbyt poważna, wychodzi bowiem z łona obozu narodowego, aby mogła się pocieszać tem, że radykalizm ten groźny jest przedewszystkiem dla obecnego układu sił w państwie. Radykalizm przez to nie staje się sprzymierzeńcem opozycji. Ale nikt nie powinien się łudzić, że on pomoże rządowi w walce z opozycją, jest bowiem bardzo niepopularny.

I tym, co rządzą, i tym, którzy pragnęliby w dziejach państwa przeprowadzić myśl, godną wielkiego narodu, zależeć powinno na tem, aby budowa była zdrowa. Zdawałoby się, że co do tego nie może być dwu zdań w obozie, który posługuje się hasłem sanacji. A jednak widzimy, że sam on szerzy chorobę. Sanacja budowy społecznej nie polega na tępieniu tylko zdrożności indywidualnych, przedewszystkiem powinna zapobiegać chorobom organizmu całego. To, co obawą przejmuje opinję, przyrównać się daje do choroby grzyba, który rzuca się na budowlę. Nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że nasz gmach zagrożony jest od bolszewizmu przez to samo, że sąsiadujemy z terenem tego bagna, które podcieka pod nasz dom. Trzeba tylko zdać sobie sprawę z tego, czy ten „grzybek" przestanie istnieć, odkąd władze odmówią mu legalizacji, jako stronnictwu, lub unieważnią listę wyborczą komunistów. To, co propaguje w uchwałach swoich stronnictwo Chłopskie, ma wszystkie cechy bolszewizmu — i to jest szczepione wśród ludności zdrowej po wsiach.

Zarazek rzuca się wyżej i nic na to nie pomagą obłudne gesty i pozory — grzyb pozostaje grzybem, choć różne postacie na się bierze. Radykalizm, szerzony przez „Głos Prawdy", pochodzi z tego samego siedliska, choćby się nazwał narodowym. Te same pierwiastki, cynicznie dobyte na wierzch w uchwale stronnictwa Chłopskiego (paneuropeizm, walka z kościołem, ruchy separatystyczne i t. p.), widzimy przecież gołem okiem w tem, co pisze prasa radykalna z czerwonemi tytułami; to samo widzimy w prasie żydowskiej aż do „Epoki". Cóż z tego, że taki „Głos Prawdy" chowa się za parawan „polityki państwowej"? Opinja doskonale widzi, co on robi. Wczoraj pod hasłem

sanacji pochwalał napad na Towarzystwo Zachęty sztuk pięknych, a dziś z tym samym okrzykiem idzie na sąd państwowy (nr. 159). Jednocześnie organizuje między młodzieżą jakieś niejasne bez zastrzeżeń zrzeszenie „radykałów“, w którem się znajdą napewno komuniści.

Nie możemy wchodzić w to, jaki ma być kres do którego w tej robocie wolno iść pod pozorem roboty państwowej i popierania rządu, my mamy jednak obowiązek orjentowania opinji publicznej, że ta robota musi być rozumiana, jako szkoda państwu wyrządzana, bezwzględnie zaś nie dająca się tolerować jako propaganda pojęć w społeczeństwie, które chce być zdrowe.

Niebezpieczeństwo jest zewnętrzne. W społeczeństwie polskiem, utrzymujemy to z całą kategorycznością, niema podstaw dla tego radykalizmu, który tak bezczelnie jest szerzony. Społeczeństwo młode i zdrowe ma doskonałe samopoczucie swego stanu i tylko zdziwione być może, skąd się bierze ten ruch rozkładowy. Żadna warstwa w Polsce nie jest zainteresowana hasłami przewrotu. Logicznie nie mają one w czasach dorabiania się młodego państwa żadnego sensu. Nikomu natomiast nie jest tajne, choć nie zawsze uprzytomniamy sobie to dostatecznie, że wrogowie Polski zużywają na to wiele środków materjalnych, aby ruch rozkładowy u nas podtrzymywać. Tembardziej zaś ten „grzyb“ staje się zagadkowy, im staranniej propagatorzy radykalizmu uchylają się od uzasadnienia swego programu, w jaki to sposób to, co propagują, uszczęśliwić ma państwo.

Opinja narodowa w Polsce może za mało przywiązuje wagi do formy rządu i jego rodzaju. Ta okoliczność mogłaby życie każdemu rządowi ułatwić pod warunkiem, że sytuacja w kraju będzie jasna.

Psychika narodu polskiego była zawsze gotowa rządzić się samoistnie, a w czasie niewoli istotnie doszła do pewnej — powiedzieć można — samostarczalności w swoich rządach wewnętrznych, zwłaszcza w zaborach rosyjskim i pruskim, gdzie miała sytuację złą, ale jasną. Teraz do tej jasności ma ona tem więcej prawa, że przecież nie mamy zaborów i nie na to walczyliśmy o wolność, aby teraz naśladować po którejkolwiek stronie dawne stosunki.

Obóz narodowy ma prawo żądać jasnej sytuacji, bo sam, cokolwiek przedsiębierze, nawet będąc w opozycji, zaczyna od wyraźnego programu. Nie walka mu w głowie, bo jest u siebie, lecz myśl pozytywna o tem, w jaki sposób Polska ma dojść do potęgi. Jest to program, z którego uczy się nie tylko uczestnik obozu, ale też i wróg jego, o ile jest istotnie Polakiem. Obóz ten, który już dawno przekroczył ramy t. zw. endecji, jako stronnictwa, znajdujący swój wyraz w organizacji Obozu Wielkiej Polski, zwalczony mógłby być tylko innym programem, bardziej przekonywującym, gdzie leży dobro Polski. Tem mniej szans zwycięstwa ma radykalizm, liczący widocznie na jakieś siły fizyczne, bo moralnie nie jednający Polaka swemi hasłami pomniejszenia Polski.

Polska nie znosi mętnej wody i nie chce nowej ruiny. Dla tego my swoją troskę sanacyjną kierujemy na ten „grzybek“ radykalizmu, który występuje plamami na ścianach Polski.

Z. W.

O NOWY USTRÓJ SZKOLNICTWA W POLSCE

BARDZO liczne artykuły, dyskusje, tezy i t. p., dotyczące projektowanej zmiany obecnego ustroju naszego szkolnictwa, stanowią bogaty materjał, z którego mógłby czerpać organ jedynie powołany do wydania ostatecznej opinji w sprawie tak niezmiernej dla narodu wagi — apolityczna, fachowa Rada Wychowania Narodowego. Mógłby czerpać i czerpałby niewątpliwie—gdyby istniał; niestety mimo tylu oddawna ponawianych zapowiedzi, Rady dotychczas niema. Jeżeli zaś sprawa ma być zadecydowana poza R. W. N., to należy przewidywać, że zagadnienie reformy szkolnictwa doczeka się znowu rozwiązania prowizorycznego, bo dokonanego pod naciskiem przemijających, choć chwilowo przemożnych tendencyj politycznych, w zależności od obecnej wypadkowej sił. Wypadkowa taka może być inna całkiem jutro, niż jest dziś; najżywotniejsze zaś potrzeby narodowe trwają wśród tych fluktuacyj, ulegając niezależnie od nich zmianom znacznie powolniejszym, jakby ewolucji od wewnątrz. Byłoby to nieobliczalną w skutkach szkodą, gdyby sprawy ustroju szkolnictwa nie udało się wyzwolić z pod ulegania wpływowi zmiennych wiatrów politycznych i oddać jej w ręce spokojnego grona najpoważniejszych w kraju specjalistów. Tylko takie grono jest zdolne do przeprowadzenia reformy, godnej stanąć w jednym szeregu obok wielkich reform Konarskiego i Komisji Edukacyjnej. Pomysły parlamentarzystów i urzędników będą tylko łataniną na krótką metę, przedłużającą zgubny w szkole stan niepewności i tymczasowości.

Są, mojem zdaniem, cztery punkty widzenia, o których nie wolno zapominać, projektując nowy ustrój szkolnictwa w Polsce, jeżeli projekt ma wytrzymać próbę życia a nie pozostać tylko na papierze. Nie spotkałem się dotąd z projektem, uwzględniającym je wszystkie w sposób równomierny i dostateczny — i to właśnie skłoniło mnie do zabrania głosu zanim klamka zapadła. Spotykamy w tych projektach myśli piękne i głębokie, świadczące o liczeniu się z naszą przeszłością, z naszemi dobremi tradycjami, a niepomijaniu wskazówek psychologji, antropologji, etc; ale nie brak też płodów doktrynerstwa, płytkiej i krótkowzrocznej demagogji, bezkrytycznego uwielbienia wszystkiego, co nosi stempel „ostatniego krzyku“ t. zw. postępu. Spotykamy tam rzeczy może bardzo dobre dla Niemców lub Anglików, ale nie przystosowane do naszego gruntu, a czasem takie, które na żadnym gruncie zdrowych owoców daćby nie mogły. Spotykamy projekty imponujące rozmachem, ale obliczone do wykonania w ciągu lat pięćdziesięciu albo stu, nieliczące się przeto z tem, czego jesteśmy świadkami: z szybkiem i gruntownem przeobrażeniem się zewnętrznych warunków życia. Wreszcie spotykamy plany zakreślone tak szeroko, że ich realizacja wymagałaby funduszów, jakich nie mamy, ani mieć nie będziemy. Otóż te błędy pochodzą albo stąd, że się nie rozumie, co to

jest Polska i traktuje się ją jako państwo „nowe“, jako teren swobodnego eksperymentowania, albo też stąd, że się pomija czynniki i warunki wewnętrzne i zewnętrzne doniosłości pierwszorzędnej, a przynajmniej niedocenia się ich doniosłości. Żeby tych błędów uniknąć, trzeba rozpatrywać zagadnienie reformy szkolnictwa z czterech punktów widzenia: 1) historycznego, 2) psychologicznego, 3) technicznego i 4) ekonomicznego.

Na tej zaś drodze dojdziemy do wniosku, że roforma, aby była wykonalna i przyniosła owoce zgodne z dobrem narodu, winna być oparta na następujących zasadach:

I. Szkoły w Polsce powinny być takie i tak ze sobą powiązane, aby możliwie największa liczba obywateli umiała i chciała pracować dla Polski. Innemi słowy: trzeba tak uczyć i wychowywać, aby było jaknajwięcej czynnych patrjotów, mających pełną świadomość dziejowego posłannictwa Polski i przygotowanych do udziału w realizacji tego posłannictwa.

II. Szkoła polska ma być nietylko z imienia i z języka, ale z ducha nawskroś polską, to zn., jej programy i metody pracy winny być przystosowane do umysłowości, charakteru i temperamentu Polaka, z pełnem zrozumieniem jego rasowych i narodowych cech i właściwości.

III. Szkoły w Polsce mają być szkołami nowożytnemi, t. j. niepozostającemi w tyle pod względem zewnętrznych urządzeń i udoskonaleń. Biorąc pod uwagę zawrotne tempo rozwoju techniki współczesnej, szczególnie w dziedzinie środków komunikacji i porozumiewaniania się ludzi na odległość, można uwzględnić tylko takie szczegółowe projekty, odnoszące się do zewnętrznej strony szkoły i ustroju szkolnego, których wykonanie jest możliwe w przyszłości bezpośredniej, a przynajmniej niedalekiej; obliczone bowiem na wiele dziesiątków lat naprzód, mogłyby okazać się przestarzałemi, zanimby doczekały się wykonania. [1])

IV. Fakt zubożenia Europy, w szczególności Polski, po wojnach lat 1914 — 1920 zmusza do ograniczania się w każdej dziedzinie życia państwowego, nawet w dziedzinie szkolnictwa, do tego, co naprawdę niezbędne. Lepiej projektować mniej, lecz projekt ściśle wykonać, niż snuć nieziszczalne papierowe fantazje.

Nie mam zamiaru przedstawiać na tem miejscu ze wszystkiemi szczegółami projektu ustroju szkolnictwa, opartego na powyższych zasadach, chcę tylko narazie wskazać główne wytyczne takiego projektu. Rzecz jasna, że ustrój szkolnictwa nie może być rozpatrywany w zupełnem oderwaniu od treści szkoły, t. j. od metod wychowania i nauczania, oraz od programów.

Z zasady pierwszej i drugiej wynika przedewszystkiem, że język polski, historja Polski, nauka obywatelska powinny stać się ośrodkiem wychowawczym każdej szkoły w Polsce. Ale to nie wystarcza. Pokolenie żyjące i następne pokolenia Polaków mają do spełnienia zadania olbrzymie: wykończyć budowę państwa tak silnego, aby mogło się oprzeć naporowi od zachodu i wschodu i pełnić misję pokojowego pośrednictwa w wymianie dobr duchowych i materjalnych na tem skrzyżowaniu dróg świata, na którem umieściła ją historja; przez twórczą, oryginalną działalność na wszystkich polach wynieść naród z obecnych nizin pomiędzy pierwsze narody świata. A jeżeli takie są zadania, to obowiązuje przedewszystkiem przykazanie ekonomji żywych sił narodowych, co wyraża się w postulatach następujących:

każdej odpowiednio uzdolnionej jednostce trzeba umożliwić zdobycie *maximum* środków do współpracy nad zrealizowaniem wspomnianych zadań (wychowanie fizyczne, umysłowe i uczuciowe);

specjalną opieką otoczyć jednostki wybitne, jako przyszłych wodzów i przewodników narodu,

trzeba zaniechać marnotrawienia sił narodowych, w szczególności produkowania niefachowej półinteligencji, bezradnej w życiu realnem.

Inaczej mówiąc, trzeba: ułatwić dobór uczniów w szkołach różnego typu, stosownie do stopnia uzdolnienia; najlepszych uczniów nietylko uczyć bezpłatnie, ale w razie potrzeby utrzymywać na koszt państwa; większość obecnych t. zw. szkół średnich kształcących „ogólnie“, przekształcić na szkoły zawodowe.

Jest to punkt niezmiernie ważny. Szkolnictwo zawodowe stoi u nas wciąż jeszcze na drugim planie, średnia szkoła techniczna, handlowa i t. d. jest dotąd jeszcze w oczach społeczeństwa czemś gorszem od gimnazjum. Stan taki, gdyby miał trwać, pociągnąłby następstwa wprost groźne dla naszej przyszłości. W nauczaniu i wychowaniu musimy pójść w kierunku bardziej praktycznym, zerwać z przeładowaniem programów szkolnych wiadomościami teoretycznemi, dążyć do tego, żeby uczniowie umieli coś zrobić, a nie do tego, żeby to lub owo tylko wiedzieli. W nielicznych stosunkowo gimnazjach powinny się wychowywać jednostki tylko wybitniej umysłowo uzdolnione, inaczej rezultaty będą nadal tak opłakane, jak są dzisiaj. Gimnazja polskie, aby mogły spełnić całkowicie swe zadanie, powinny mieć charakter „ognisk wychowawczych“ [2]), t. j. zakładów internatowych, wychowujących młodzież od 10 do 17 roku życia, przeważnie w zdrowej atmosferze wiejskiej. Ogniska byłyby utrzymywane przez zrzeszenia i grupy społeczne, lub przez państwo, wyjątkowo tylko przez jednostki o specjalnych wybitnych kwalifikacjach.

Trudne warunki ekonomiczne zmuszają do zorganizowania szkolnictwa w taki sposób, aby młodzież mogła możliwie wcześnie rozpoczynać zarobkowanie i pracę produkcyjną. Na szkołę „trójprzymiotnikową“, jednocześnie powszechną, ogólniekształcącą i siedmioletnią, nie stać nas; nikt, kto umie trzeźwo patrzeć, nie będzie mógł temu zaprzeczyć. Trzem wyższym oddziałom projektowanej „szkoły powszechnej“ trzeba nadać charakter zawodowy. Każdemu dziecku, którego rodzice nie mogą wychowywać i uczyć w domu, państwo ma obowiązek zapewnić miejsce: od 6 do 7 roku życia — w przedszkolu (ochronie), od 7 do 10-go w powszechnej szkole elementarnej, w miejscu zamieszkania lub w bezpośredniem sąsiedztwie. Po ukończeniu szkoły elementarnej dzieci najzdolniejsze byłyby kierowane do gimnazjum (egzamin wstępny), wszystkie zaś pozostałe uczyłyby się przez dalsze trzy lata w szkołach o charakterze niższych szkół zawodowych najrozmaitszych typów, zależnie od miejscowych potrzeb i możliwości. Wychowankowie tych szkół dzieliliby się na trzy grupy: jedni szliby w życie, rozpoczynając systematyczną praktykę na roli, w fabrykach, w warsztatach rzemieślniczych, sklepach i t. p., inni przechodziliby (bez egzaminu) do średnich szkół zawodowych o kursie czteroletnim (przeważnie w miastach) niektórzy wreszcie — do klasy 4-ej gimnazjum, t. j. do t. zw. gimnazjum wyższego (dwa typy: matematyczno-przyrodniczy i klasyczny). Z drugiej strony uczniowie gimnazjum, okazujący większy

[1]) Por. trafne uwagi na ten temat L. Jaxy - Bykowskiego w Nr. 6 „Myśli Narodowej“ z r. b.

[2]) Pisałem o tem obszerniej w „Myśli Narodowej“ w r. 1925 (rok V, grudzień, Nr. Nr. 11, 12, 13).

pociąg i uzdolnienie do zajęć praktycznych (a nie poprostu najgorsi, jak obecnie) mogliby po ukończeniu trzech klas ogólnie kształcących dostać się do zawodowej szkoły średniej. Absolwent tej szkoły, kończąc ją w 17-m roku życia, mógłby albo przejść do praktyki zawodowej, albo też, wraz z wychowankami gimnazjów i na równych z nimi prawach, przejść (bez egzaminu) na roczny kurs przygotowujący do specjalnych studjów wyższych (t. zw. klasy specjalne w miastach uniwersyteckich), aby następnie po roku zdawać egzamin z grupy przedmiotów odpowiadających obranemu kierunkowi, do uniwersytetu lub wyższej szkoły zawodowej (politechnika, etc.). Studja wyższe trwałyby normalnie cztery lata, tak, że patenty młodzież zdobywałaby w 22-m roku życia. Patenty, otrzymywane po ukończeniu szkół zawodowych niższych, średnich i wyższych, miałyby charakter teoretyczny, to zn. uprawniałyby do objęcia płatnej praktyki. Praktyka trwałaby dla absolwentów szkół niższych 4 lata, średnich 3 lata i wyższych 2 lata, tak, że studjujący normalnie zawodowcy otrzymywaliby ostatecznie patenty praktyczne, uprawniające do obejmowania placówek samodzielnych, po ukończeniu lat 17-tu (wykształenie niższe), 20-u (średnie) i 24-ch (wyższe) Należy dodać, że pierwsze dwie kategorje uzupełniałyby swą wiedzę na wieczorowych kursach dokształcających.

Tak, mniej więcej, przedstawiłby się w ogólnym zarysie projekt ustroju szkolnictwa w Polsce, stanowiący poniekąd syntezę tego, co, według mego przekonania, było wartościowe i pożyteczne w pracach ludzi kompetentnych, którzy u nas w ostatnich czasach zagadnieniem tem się zajmowali. Głos decydujący w tej sprawie należy do Rady Wychowania Narodowego; do niej też należy wskazanie, jaką treścią napełnić utworzone w ten sposób ramy, aby szkolnictwo mogło służyć w całej pełni idei wielkości narodu. Gdy się to stanie, nowy duch wstąpi w wychowawców i wychowanków; zniknie dzisiejsza apatja i zniechęcenie, iskra entuzjazmu przeleci po nieskończonych szeregach z serca do serca. Wszyscy poczują się nareszcie braćmi, żołnierzami jednej najświętszej sprawy.

BOLESŁAW GAWECKI

SERCE AZJI

AZJA od najdawniejszych czasów gra olbrzymią rolę w dziejach świata. Poprostu dlatego, że ląd jej zajmuje więcej miejsca na kuli ziemskiej, niż każdy inny, że zawiera najróżnorodniejsze środowiska fizyczne, oraz ze względu na swoje dogodne wobec wszystkich innych części świata położenie. Z nich Europa jest właściwie jednym z rozgałęzionych półwyspów, i oczywiście całą przyrodą, jak również biegiem wydarzeń związana jest najściślej z całością Eur-azjatyckiego kontynentu.

Z Azji przyszły wszystkie ludy, jakie były i są obecnymi Europy mieszkańcami. Z Azji wyszły wszystkie kultury — których elementy złożyły się na cywilizację europejską. Takim samym rezerwoarem była dla Afryki, dla Ameryki i dla archipelagów Oceanu Spokojnego. Lądowemi i morskiemi szlakami rozszerzały swoje podboje plemiona za plemionami, niejednokrotnie spiętrzając się i nawarstwiając jedne na drugie. A ten ruch nieustanny choć powolny, trwając od wiek wieków, stworzył ową niesłychaną mozaikę, jaką jest ludzkość współczesna.

Jakkolwiek prawa rządzące temi ruchami osłonięte są głęboką tajemnicą, w niektórych bliższych ery naszej zdarzeniach udało się podchwycić uderzającą, a niespodzianą cechą. W bijących falach ras i plemion, zda się istnieć, na podobieństwo przypływu morskiego, rytm wzmagania się i opadania. I jak prawa przyciągania powodują rytmiczny oddech oceanów — tak niezłomne prawa przyrody rządzą losami rzesz ludzkich, jakby tętnem olbrzymiego serca rzucanych i krążących po całym systemacie lądów.

Najbardziej rzucającym się w oczy przykładem, będzie zarys przemian dokonywających się w samem sercu Azji — którego uderzenie zwiastowało za każdym razem rozpoczynającą się nową epokę w dziejach.

Środek Eur-azjatyckiego kontynentu zajmuje pas pustyni i stepów, odgraniczony łańcuchami górskiemi od tropikalnych lasów południa i zamknięty od północy górzystą lub błotnistą tajgą — zrzadka zaś lesistym półstepem.

Niezmierzone przestrzenie piasków i zeschłych traw ciągną się szerokim pasem od puszty węgierskiej, przez równie czarnomorskie, słone stepy kaspijskie, przez szerokie płaszczyzny Turanu, falistą Dżungarję i płaskowyża Mongolji, aż do wschodnich krańców kontynentu. Cały ten obszar geograficznie stanowi całość i chociaż groźne progi wyniosłych i dzikich łańcuchów górskich Tiań-Szaniu oddzielają wschodnie wyżyny od zachodniej nizinnej połowy — krajobraz z jednej i z drugiej strony nie różni się niczem. Od Siedmiogrodu i Podola aż po brzegi Żółtego Morza rozpościera się sucha trawa stepowa. Ściany skalne odgradzają ten obszar murem nieprzebytym od wilgotnych i słodkich wiatrów południa—tworząc z niego suchą o surowym i wietrznym klimacie krainę.

Mieszkańcy jej od wieków trudnili się, jak i dziś, pasterstwem. Dobrobyt ich zależał od ilości paszy dla stad. W poszukiwaniu pokarmu krążyli w pewnym obrębie, koczując czyli przenosząc swoje siedziby z miejsca na miejsce. Konie, wielbłądy lub woły nosiły im namiot i cały dobytek, bądź to na swoich grzbietach, bądź też zaprzężone do wozów. Wędrówkom nic nie stało na przeszkodzie, i w lata nieurodzaju uciekali nieraz koczownicy z wygłodzonych okolic, nie dbając o przestrzeń — byle módz wywalczyć dla siebie pastwiska, dające im podstawę egzystencji.

Nieurodzaje zdarzają się na stepie często. Powoduje je z reguły posucha, stąd też wahania się wilgotności klimatu (choćby w niewielkich granicach) mają doniosłe znaczenie dla krain stepowych. Lata względnie obfitych opadów dają urodzaj traw i dobrobyt, lata suche — niosą głód i walki. Jeżeli lata klęskowe zdarzają się częściej, wówczas walka o byt zaostrza się, i liczne plemiona, pędzone głodem, rzucają się na krainy graniczące ze stepami.

Według przeprowadzonych badań meteorologicznych i geologicznych, klimat Azji Środkowej ulega perjodycznym wahaniom. Pomijając mniejsze cykle klimatyczne — dostrzegać się daje regularny powrót okresów, w których opady ulegają zmniejszeniu — a ilość lat klęskowych dosięga swego *maximum* Wielkie okresy takie, według przybliżonego obrachunku, zdarzają się przeciętnie co lat 660, i oddzielone są okresami względnie obfitszych opadów — gdy nieurodzaje są rzadsze, i nie obejmują tak wielkich

przestrzeni. Nie spierając się co do długości perjodu— sam fakt wahań klimatu zdaje się nie ulegać wątpliwości—będąc zresztą zjawiskiem pospolitem i w innych okolicach.

Co lat 660 następować więc ma okres krytyczny dla ludów stepu — które nie mogąc się wyżywić na dotkniętych częstemi posuchami terytorjach — zmuszone są do wędrówek na tereny przyległe, co oczywiście wywołuje walki z ich mieszkańcami. Taki okres maksymalnych ruchów stepowców trwa dość długo — dopóki ponowny wzrost wilgotności nie spowoduje okresu ciszy i uspokojenia się koczowniczych plemion.

Łatwo zrozumieć, dlaczego wybuchające w okresach krytycznych walki rozszerzają się jak pożar po stepach. Naruszona równowaga ekonomiczna stwarza podkład na całej tej olbrzymiej przestrzeni jednocześnie — i dość wówczas małej pobudki do wywołania niesłychanej lawiny ludów, kotłującej się i prącej we wszystkich kierunkach. Dlatego, jeżeli wówczas gdziekolwiek na stepie wynika zawierucha wojenna, można być pewnym, że odbije się ona na całym obwodzie stepowych krain.

Dla stepowców nie istnieje odległość, to też ruchy tych konnych ludów odbywają się na przestrzeniach dziesiątków tysięcy wiorst. Fale koczowników przewalały się nieraz od krańca po kraniec kontynentu, a czasem „toczą się od brzega do brzega pozostawiajac wyraźne ślady na swych drogach; miecz wykuty w kuźniach Ała-tau może się znaleźć na brodach Dunaju, a groty strzał pasterzy z pod Chin-ganu zbierze przechodzień na polach Śląska"[1]). Ekspansji koczowników otwierały się żyzne i bogate rolnicze krainy, przyległe stepom, jakie rozpościerały się w środkowej i wschodniej Europie, w międzyrzeczu Tygrysu i Eufratu oraz w nizinie chińskiej.

Pierwszy z tych kataklizmów, jakiego echa doszły naszych czasów — przestrzenią czterdziestu wieków oddzielony jest od doby obecnej. Wówczas to na 2.000 lat przed Chr. rozszalała się na całej połaci stepów burza etniczna, która waląc się na Chiny, spowodowała utratę zachodniej części państwa na rzecz barbarzyńców stepowych. Zapasy trwały kilka wieków i miały doniosły wpływ na kulturę Chin ówczesnych. Jednocześnie rozpoczął się na południu okres wielkich najazdów koczowników. Jedna fala najeźdźców — Plemiona Mada i Parswa — wdzierają się na Iran i prą dalej na zachód. Druga fala — Kanissowie — ze stepów Czarnomorskich przez Bałkany i Bosfor wlewa się do Anatolji, skąd — pod nazwą Hettytów — spada na Babilon, obracając go w perzynę. Zagony koczowników sięgają aż do Afryki—gdzie Hyttowie na wiele wieków opanowali Egipt.

Europa musiała przeżyć w tym okresie straszliwe wstrząśnienie. Dotychczasowa jej kultura neolitu, czyli kamienia gładzonego, ustępuje nagle kulturze bronzu. Niema co do tego żadnych danych pisemnych i tylko— stwierdzone przez archeologów — raptowne zniszczenie wysokiej kultury trypolskiej, rozkwitłej na stepach Podola, oraz przesuwanie się całego szeregu ludów na półwyspie bałkańskim, świadczą, że zmiany te były wynikiem olbrzymiej fali ludów pasterskich, znających metal, które w wędrówkach swych dosięgły aż do środkowej i północnej Europy.

Najazdy spowodowały wszędzie ogromne przeobrażenia kulturalne. Jednym z najważniejszych nabytków tego okresu jest zapoznanie się ówczesnych krajów cywilizowanych z koniem. Dotychczas bowiem koń był zwierzęciem nieznanem Mezopotamji i Egiptowi, zastępował go osieł, a poczęści wół — którego zaprzęgano do wozów. Dopiero gdy najeźdźcy posługujący się wozem bojowym, zaprzężonym w konie, zdołali dzięki tej nowej taktyce podbić wszystkie prawie ludy Azji Zachodniej, nastąpił tam rozkwit hodowli konia[2]). Również wyścigi konne na wozach dwukołowych, które były, można rzec, odwiecznym sportem indoeuropejczyków — rozpowszechniły się we wszystkich zdobytych ziemiach.

Ludy stepowe posiadały ogromną przewagę bojową nad mieszkańcami krain rolniczych. Ich lotność pozwalała na szybką koncentrację olbrzymich nieraz mas wojowników. Ustrój społeczny opierał się na władzy wodzów i ćwiczył w karności. Wreszcie żaden z podbijanych ludów nie posiadał tak świetnej broni, jaką we wprawnej ręce jest łuk refleksyjny. Łuk taki klejony jest z kilku kawałków drzewa lub rogu, gięty podwójnie i często wzmocniony wiązadłami ze ścięgien lub roślinnych włókien. Dobry łucznik bił na 900 metrów. Nic dziwnego, że w tych warunkach koczownicy byli groźnym przeciwnikiem.

Następny okres ekspansji, po długiej przerwie, rozpoczął się w wieku XIV przed Chr. Rozpoczęła się wówczas nowa wielka serja wstrząśnień, wojen i przemian etnicznych na całym obwodzie stepu. Chiny opanowane zostały przez hordy barbarzyńskie naprowadzone przez kresowoch książąt Tsou. W oficjalnym kulcie chińskim tego okresu rozpowszechnia się ofiara z konia (charakterystyczna dla kultury pasterskiej).

Zupełnie analogiczny przebieg miały wypadki na zachodzie, gdzie fala ludów pasterskich wbiła się klinem w samo serce Europy, opanowując nizinę pannońską — co spowodowało odśrodkowy ruch idący z tych krajów na południe i północ. Napływ ludności do ziem nad Odrą spowodował tam późniejszy rozkwit t. zw. kultury łużyckiej. Trakowie i Frygowie, pchnięci bodaj przez Illirów, prą z nad Dunaju przez Bosfor do Anatolji i rozbijają państwo Hettytów. Pod naciskiem Traków, Dorowie i inne greckie plemiona (wszystkie te ludy również pasterskiego pochodzenia, lecz nasiąkłe już trochę elementami miejscowemi) dotychczas siedzące w Epirze i Macedonji, przesuwają się dalej, zajmując Egeję[3]), a wyprawy ich gromią Kretę i sięgają nawet Egiptu. Cała prawie Azja Zachodnia ponownie zostaje podbita przez najeźdźców indoeuropejskich, którzy prąc od Iranu i Anatolji zakładają w Mezopotamji, Armenji, Syrji i nawet Palestynie własne dynastje i wprowadzają własnych bogów. Wyścigi konne i inne obyczaje zwycięzców rozpowszechniają się we wszystkich tych krainach.

Rok 760 przed Chr., będący teoretyczną datą następnego *maximum*, przyniósł ważne zmiany etniczne na samym stepie. Już na długie lata przedtem, za Bajkałem, na pograniczu równin i gór, wyrajać się zaczęły z leśnych gęstwin myśliwskie plemiona Turkomongołów i zajmując przestrzenie stepowe przejmować zaczęły stopniowo pasterski tryb życia od swych sąsiadów. „Osią, dokoła której obracają się kultury myśliwska pasterska, jest zwierzę", stąd więc

[1]) Artykuł niniejszy jest właściwie częściową recenzją z pracą p K. Moszyńskiego p. t. „Badania nad pochodzeniem i pierwotną kulturą Słowian. Część I", Nakładem Akad. Um. w Krakowie, w której autor przed analizą objętego tytułem zagadnienia, nakreśla tło ogólne, charakteryzujące związki Azji z Europą oraz ekspansywność ludów stepowych. Zdania w cudzysłowie są wyjątkami, które pozwoliłem sobie przytoczyć.

[2]) Koń arabski — dawniej w Arabji nie znany — w tym właśnie okresie zaczął być hodowany wśród plemion semickich.

[3]) Plemiona egejskie żyły na terytorjach dzisiejszej Grecji i wytworzyły świetną cywilizację — którą Hellenowie zburzyli, a po wiekach z gruzów jej zbudowali swoją.

płynęła możliwości podobnej przemiany[4]). Stopniowo opanowywały te plemiona wschodnią Mongolję, dochodząc do granic Chin. Obywało się bez znaczniejszych zatargów, dopóki nie nadszedł okres ekspansji stepu. Rozpętała się wówczas burza, w której wybitny udział wzięły także plemiona leśnych myśliwców, zamieszkujące dorzecze Ammon — a ruchy ich krzyżujące się z najazdami Turkomongołów spowodowały szereg zaciętych walk na pograniczu Chin.

Zapasy te spowodować musiały silne jakieś uderzenie w kierunku zachodnim, które udzielając się coraz dalszym plemionom — puściło w ruch cały potok ludów. Podobno nieznane nam bliżej plemię Massagetów, pchnięte najwidoczniej przez jakieś inne szczepy, pogromiło koczujących w głębi Azji Scytów. Wyrzuceni na pobrzeża Pontu, runęli oni na ziemię dzisiejszej Ukrainy, bijąc zamieszkujących ją Kimmerów. Z kolei Kimmerowie, pchnięci tym najazdem, ruszyli na półwysep Bałkański — a stamtąd do Anatolji. Na wschodzie i zachodzie Mezopotamji rozgorzały walki. Od gór Zagros nacierali Medowie. Prące od Iranu i Anatolji hordy złamały w końcu opór Assgoryjczyków. Niniwa została zdobyta i zrównana z ziemią.

Scyci nie posługiwali się wozami bojowemi, które od tej pory zaczynają wychodzić z użycia. Na lotnych swoich wierzchowcach, wyrastali jak z pod ziemi, gdzie się ich najmniej spodziewano. Tłumy jeźdźców okrążały nieprzyjaciół, zasypując ich chmurą strzał, a w razie klęski znikali z równą łatwością. Oprócz łuku używali także arkana i sztyletów żelaznych,któremi zabijali schwytanych na arkan przeciwników.

Plemiona scytyjskie sięgały swemi najazdami Wisły, główna jednak ich masa zamieszkiwała w okolicach morza Azowskiego, gdzie częściowo osiedli, i dzięki greckim kolonjom, gęsto wówczas rozsianym na całym wybrzeżu, przejęli się w znacznym stopniu wpływami Hellady. Wytworzyła się tu nawet swoista kultura greko-scytyjska.

Ponowne uderzenie stepowego serca Azji, a wraz z niem nowa burza dziejowa przypada na II wiek przed Chr. Teraz gwałtowne parcie plemion Turkomongolskich sięga już swemi czołowemi oddziałami do Uralu. Cała Mongolja i Dżungarja stracona jest bezpowrotnie dla indoeuropejskich koczowników, a plemiona zamieszkujące ją ujarzmione lub wygnane. Uciekające na zachód ludy sarmackie[5]) zgniotły Scytów i doszły do Dunaju.

Ekspansja koczowników biła również na wschód, ale tam sprawy przybrały niebywały dotychczas obrót. Ustawiczne najazdy zmusiły władców chińskich do przeciwdziałania. Rozpoczęła się kontrekspansja Chin, która szeregiem wypraw w samo serce Mongolji doprowadziła do pogromu Hiung-nu (jak Chińczycy zwali tych barbarzyńców) i przepędzenia ich daleko na zachód.

To przedsięwzięcie uniemożliwiło na długie lata odpływ koczowników ze stepu na krainy Wschodu, i stawiając Chiny u szczytu potęgi odbiło się zarazem na losach pozostałych rubieży stepu. Pchnięte potężnem uderzeniem ludy Turkomongolskie skierowały swe zagony na zachód, sięgając niebawem Europy, przeżywającej właśnie momenty zajadłych walk między cywilizowanem południem, a leśnemi plemionami — które z okolic Bałtyku rozszerzały swe podboje na zachód i południe. Niektóre z tych hord (Gotowie) skierowały się nawet na wschodnio-europejskie stepy, któremi zawładnęły na jakiś czas. Tereny te jednak stanowiły łożysko wielkiej rzeki etnicznej, którą od najdawniejszych czasów wkradały się masy stepowców do krain europejskich, i oczywiście ze wzmożeniem się wdzierającej fali Turkomongolskiej, tama została zerwana, a pogromione plemiona Gotów, porwane prądem, znalazły przytułek dopiero w północnej Afryce. Okres wstrząśnień był najdłuższym ze wszystkich, walki bowiem trwały wciąż, aż do następnego *maximum*, przypadającego na 560 rok po Chr.

Chiny znowu dzięki energicznej postawie swych władców (jeden z nich, Si-nung dał rozkaz wytępienia wszystkich Hiung-nu w państwie) — uniknęły najścia barbarzyńców. Cała natomiast Europa zalana została przez powódź koczowników. Najazdy tłumów Awarów i szeregu drobniejszych plemion stepowych, krzyżując się z ruchami ludów leśnych — dały w wyniku ową wielką wędrówkę ludów, która w tak znacznym stopniu zniszczyła cywilizację Europy.

Ostatni historycznie okres rozpoczął się w roku 1211-tym, kiedy to Dżyngis Chan ruszył na podbój Chin i w ciągu 4 lat zdobył całą nizinę chińską. Potem Mongołowie pod jego wodzą zwalili się na Turkiestan, i przez Iran doszli do Indu. Następne najazdy podbiły Ruś, zniszczyły Polskę, Węgry i Bałkany. Jeszcze później owładnęli Syberją z jednej, a całą prawie Azją Zachodnią z drugiej strony. Powstało w ten sposób olbrzymie imperjum, zorganizowane należycie na wzór chiński. O ile zaś wysoko cywilizowane państwa Islamu i Europy Zachodniej oparły się nieszczęsnej ekspansji Mongołów, to cała przestrzeń stepów, a nawet kraje podbite, jak Ruś, w dużym stopniu straciły rodzime piętno na rzecz zwycięzców. Od tej pory datuje się zupełne niemal wytrzebienie stepowych czy osiadłych ludów indoeuropejskich, jakie ongiś zamieszkiwały całą Azję Środkową. Dziś zostały tylko ich ślady w odosobnionych dolinach górskich.

Ostatnią datą, jaka wypada z teoretycznego obliczenia jest rok 1880. Oczywiście warunki panujące w stepowych prowincjach nie pozwoliły koczownikom na jakąkolwiek organizację — jednakże właśnie na ten czas przypadł cały szereg klęsk głodowych i żywiołowych, jakie w innych warunkach wystarczyłyby niewątpliwie do rozpętania pożaru w całej Azji Środkowej.

Opisane powyżej zjawiska nawarstwiania się, tępienia i ujarzmiania ludów, nie ograniczały się do wyżej omówionych terytorjów — przeciwnie miały miejsce we wszystkich zakątkach kuli ziemskiej od początku dziejów ludzkości. Skala ich jednak i znaczenie nie wszędzie było jednakowe. Ścisła zależność między potęgą zmagań rasowych — a poziomem cywilizacji, jest rzeczą niesłychanie uderzającą. Tam właśnie, gdzie fale ludów biją najczęściej i najstraszliwiej, wyrastają wszystkie znane nam wysokie cywilizacje starożytności. Albowiem walka, i warstwowanie się różnolitej kulturalnie ludności wydaje się być warunkiem rozwoju cywilizacji wogóle. Bez niej nietylko rozwój — ale nawet utrzymanie się form wytworzonych jest niemożliwe. Prędzej czy później następuje degeneracja.

Trzeźwa analiza tych faktów — poza czysto naukowem badaniem, może mieć doniosłe znaczenie dla kierunku myśli społecznej. Opierając się nie na apriorystycznych przesłankach, a na podstawach ściśle i krytycznie stwierdzonych, wytknąć na nich można zasadnicze punkty obserwacyjne — jakie konieczne są dla świadomej swych celów, pewnej i twórczej pracy narodowej.

STEFAN NIEWIADOMSKI

[4]) Autor przytacza fakt, że w temże miejscu, współcześni Tunguzi, z myśliwców stają się często hodowcami stad.

[5]) Oczywiście nic wspólnego z Polakami, ani Słowianami nie mające, a pokrewne Irańczykom.

DRAMAT TWÓRCZOŚCI ŻEROMSKIEGO

ZNAJĄC Żeromskiego osobiście od bardzo wczesnej młodości, nieraz zastanawiałem się nad jego psychologją w związku z tem, co pisał w swoich dziełach. Teraz, kiedy jego dzieła idą pod sąd historji literatury, poczuwam się do obowiązku, w charakterze świadka, złożyć w paru słowach swoje zeznanie, co mi o nim wiadomo.

1. Jaki był sam Żeromski? Twórczość pozostawiona przez pisarza przedstawia się jak rzeka. Ale ta jest w tem porównaniu nieścisłość, że gdy o rzece decydują w dalszym biegu dopływy, których ona jest zlewiskiem, tutaj zawsze obecne jest źródło w postaci ustroju duchowego, właściwego pisarzowi—i to źródło przy określaniu pisarza zawsze musi być brane za miarę rzeczy, wyjaśniającą, o ile twórczość była „wierna rzeką" — wierną swemu twórcy.

Zanim do analizy tego źródła przystąpię, muszę, choćby dla uprzytomnienia w oczach czytelników samej postaci, potrącić o biografję. Stefan Żeromski żył lat 61, między 1864 a 1925. Bolesław Prus, którego Żeromski uważał za swego mistrza, miał w dacie jego urodzin 16 lat, a w r. 1887 ogłaszał „Lalkę", gdy Żeromski oddawał pierwsze utwory do druku. Był to czas najpiękniejszego rozkwitu powieści polskiej. Wypowiadało się w niej starsze pokolenie pisarzy, ustępujące miejsca twórczości nowej, zapatrzonej już tylko w lud. Pierwsze pokolenie ludu uobywatelonego właśnie wtedy dorosło i dało się odczuć wyobraźni socjalnej nowych twórców, rodzących się skądś niespodzianie, bez anonsowania się społeczeństwu przez uniwersytet i publicystykę, jak było dawniej, jakby szli wprost z lasu i pola.

Społeczeństwo spostrzegło, że ma Żeromskiego, właściwie dopiero w tem stuleciu. W r. 1902, kiedy w „Tygodniku Ilustr." ogłasza „Popioły", ma już rozgłos. Ubiegają się o niego nakładcy, jest władcą dusz w obozie radykalizującym, który robi z niego użytek polityczny, jest hasłem literackiem dla młodszych pisarzy. Ma za sobą młodzież i kobiety. Dostaje się szybko do podręczników szkolnych, jako lektura; powstaje literatura o nim krytyczna, a zwłaszcza panegiryczna.

Oblicze Żeromskiego zarysowało się przed społeczeństwem wtedy, gdy wrócił z zagranicy, więc już w drugiej połowie jego życia. Był w tym czasie pomocnikiem bibljotekarza przy Korzonie w bibljotece ordynacji Zamoyskich. Ogół jednak i krytyka literacka mało miały wiadomości osobistych o Żeromskim. Zamknięty w sobie, towarzyskich stosunków miał mało. Na szerszych zebraniach, które rade nim się zdobiły, reprezentował swoją osobę sztywno, rzadko głos zabierając i z widocznym przymusem. Pod maską powagi nie trudno było dostrzec nieśmiałości i braku swobody towarzyskiej.

A przecież wówczas był światowcem w porównaniu z Żeromskim z r. 1892, autorem „Ludzi Bezdomnych", bladym młodzieńcem z kruczą brodą i pięknemi oczami. Wtedy z obcymi nie umiał wprost rozmawiać a w szerszem kółku nieznajomych, zwłaszcza literatów, którzy mu niezmiernie imponowali, czuł się jak na torturach. Umiał się obracać wtedy tylko wśród najbliższych kolegów; ale zaledwie paru miał przyjaciół, z którymi pozostawał na poufnej stopie. Był to młodzieniec dziki z natury a nieśmiały podwójnie: wobec ludzi, których mało znał, i wobec literatury.

Trzeba chwilę pomyśleć o paradoksie losu człowieka nieśmiałego, który rzuca w świat swoje najbardziej poufne słowo, przezwyciężając strach i wstyd, — słowo, któregoby do słuchu nie przytoczył z bruljonu przyjacielowi, do któregoby się nie przyznał, któregoby przy sobie nie pozwolił przeczytać. Do końca życia tak było. Żeromski coraz śmielej rozmawiał ze światem za pomocą druku, ale nigdy nie dopuścił nikogo do tajemnic rękopisu, ani też nie przyznał się nikomu co pisze. Książkę rzucał w świat z zamkniętemi oczyma: niech się dzieje co chce! A gdy się przyzwyczaił, że wszystko można ludziom powiedzieć, nawet rzeczy zuchwałe, że ze sławą następuje w odpowiedzi uznanie i hołd, wtedy urósł w jego oczach jakby ktoś nowy, reprezentatywny, osobisty zaś Żeromski pozostał po dawnemu samotny. Bynajmniej nie skromny, ale nieśmiały.

Żeromski całe życie wiódł w odosobnieniu, chodząc raczej obrzeżami, niż środkiem. Chował się w dzieciństwie w lasach górskiej okolicy Św. Krzyża i Łysicy, w owej „Puszczy jodłowej", w której opowiedział tło swego dzieciństwa. Rodzice przenieśli się tam z dzieckiem na folwarczek, który dzierżawili. Matka w dzieciństwie go odumarła. Dom tchnął surowością niewielkich potrzeb z trudem zaspakajanych. Okolica dość dzika, ludzi mało, daleko do siedzib kultury.

Od jakiegoś 1874 roku do 1886 — Kielce. Nie było tam jeszcze wtedy kolei. Poczciwe miasto, ale przecież na dzikość nie wiele miało sposobu. Chłopcy naogół surowi, barwy tu nie tracili. Żeromski źle się uczył, matury nie osiągnął. Przez Warszawę przemknął się kędyś bokiem a górą — po stancyjkach na wysokiem piętrze. Pomęczył się tu jakiś rok, próbując weterynarji i puścił się na guwernerkę po prowincji. Poznał wtedy kilka punktów kraju, skończył zaś tę przykrą drogę w Nałęczowie w r. 1892. Był na tej drodze już bez kolegów, z którymi jedynie umiał obcować. Tutaj bardziej jeszcze samotny patrzył na świat przez cudze okno, czując się obcy i onieśmielony.

Lata 1892—1898 spędził zagranicą, „na wielkim świecie". Właściwie jednak zostawał na odludziu — przeważnie wśród szaf bibljoteki Rapperswylskiej. Miał przynajmniej oparcie w żonie. Dzięki temu mógł zwiedzić Paryż. Cały czas jednak zagranicą tylko z garstką rodaków miał do czynienia. To samo po powrocie do Warszawy—samotnie w bibljotece. W bibljotekach czuł się tak dobrze, jak w lesie za lat młodości. One wzbogaciły jego wiedzę, one uczuciowo obudziły w nim pietyzm dla zakładów kultury umysłowej.

Do tego krótkiego przebiegu życia dodać należy rzecz nader ważną, że Żeromski był chory, obciążony dziedziczną gruźlicą po matce. Zwłaszcza pierwszą połowę życia miał z tego powodu ciężką. Parokrotnie poddawać się musiał operowaniu kości, przedtem zdaje się gruczołów. Często zapadał na płuca.

2. Przyniósł z sobą pewną specjalną wrażliwość zmysłów i chłonność wrażeń. Pozbawiony wcześnie jedynego łącznika organicznego ze społeczeństwem, jakim dla dziecka jest pieszczota matki, całą tę wrażliwość z dziecięcą wyobraźnią oddał przyrodzie, do której miał dostęp nietamowany. W samotności skupiał się w sobie ze swoją tkliwością, całkowicie zużytkowywaną, jak czuły, nieprzebrany film, na przechowywanie wrażeń, właściwie śladów przeżyć uczuciowych. W r. 1926, żeby napisać swoją „Puszczę jodłową", żeby dokładnie ją sobie uprzytomnieć, otwiera siebie samego, jak księgę, na stronicy jakiejś z roku 1874 i tam widzi:

„W uszach moich trwa szum twój, lesie dzieciństwa i młodości, choć już tyle lat nie dano mi go słyszeć na jawie! Przebiegam w marzeniu wyniosłe góry... góry moje domowe. Nie ja to już, człowiek dzisiejszy, wciągam zdrowemi płucami tameczne powietrze, kryształ niewidzialny, niezmierzone, nieskazitelne, przeczyste dobro, lecz ktoś inny, kogo już dawno niema, młodzieniec, który niegdyś w mem jestestwie przebywał. Nieraz mi się wydaje, że go wcale nie było, że to poprostu jedna ze zmyślonych figur, które wynajdywać w nicości, tworzyć, kształtować i pokazywać ludziom zapomocą pisaniny było moją manją od dzieciństwa".

Dusza ludzka ma swoją historję, w sobie zapisaną. Dla poety, który swoje dzieje rozpoczyna od momentu samowiedzy artystycznej, dziecinne wrażenia należą do okresu przedhistorycznego; trudno mu sobie zdać sprawę z tożsamości osobistej. A jednak on tam się rodził poetą, w tym szumie lasu. Ów las na stokach Łysicy ze źródłem „kipiącej wieczyście wody" dawał początek twórczości jego i odkarmiał ją całe życie. Tutaj, u źródła św. Franciszka, szukać trzeba w Żeromskim poety.

W obcowaniu z tym poetą, kiedy był już człowiekiem dojrzałym, uderzało to, że umysł jego zwracał się ustawicznie poza siebie, na przebytą drogę. Wszystko, o czemkolwiek się mówiło, nie ożywiło się dla niego, póki nie ściągnął tego na wspomnienie, na coś, co mógł przytoczyć w postaci zdarzenia indywidualnego. Przyczem, im dalsze wspomnienie, tem milsze mu było i przez samo opowiadanie się idealizowało. Gdy rozpoczął snuć nić wspomnień, tak się rozpromieniał, że z przykrością ją urywał. Zwłaszcza czasy szkolne, które kładły pierwszy rysunek społecznej psychiki na czyste tło dzieciństwa, miał w oczach plastycznie.

Tutaj już zaznaczę, że zachodziła różnica między opowiadaniami ustnemi a pisanemi. W ożywieniu towarzyskiem nasuwały się obrazy jasne, gdy pisał — w rozmowie z sobą—dobywały się ciemne. Ktoś tam był w duszy sam na sam, kto go nie rozweselał. Był to ów Smętek, którego Żeromski potem spotkał nad morzem w halucynacji historycznej.

Ten smutek lągł się w duszy z choroby ciała. Dziecko tylko nie zdawało sobie ze stanu tego sprawy, dlatego był to najszczęśliwszy okres. Z wiekiem dochodziło coraz bliżej do progu jego świadomości, że nie ma siły przebojn, a rozlewało się w organizmie jako złe samopoczucie (cenestezyjne). Chwila, kiedy o tem wiedział już, zbiegła się z chwilą, kiedy się poczuł artystą. Te dwie świadomości pomagały sobie już potem w udręce.

Dramat życia Żeromskiego—los tworzenia duchem i dla ducha jest zawsze dramatyczny — rozpoczął się wcześnie. Wtedy, kiedy sobie powiedział, że będzie pisarzem, a powiedział to sobie jeszcze w dzieciństwie. Lata, kiedy chłonął życie przyrody bez celu dla samego sycenia się życiem, rychło jak sen minęły. Odkąd zaczął pisać, zaczęła się praca celowa, notowanie wrażeń przy pomocy świadomości, praca uwagi, praca wymierzania każdego wrażenia swoją bolącą indywidualnością. Artysta musi być człowiekiem słabym życiowo, on bowiem całą energję ruchową swych centrów obraca na obsługę swego wnętrza. Ten moment energji jest już w uwadze, która jak reflektor wyświeca to, co się dzieje w artyście w złożach jego podświadomości, nagromadzonych przez czułe przeżycia.

Ta praca, zaczęta w dzieciństwie, określa los człowieka, bo ona go wychowuje w samoćwiczeniach tak głęboko, że później nie jest on zdolny do czego innego, jak tylko do procesu chłonięcia i wydawania z siebie aż do stanu zupełnego zobjektywizowania w dziele sztuki. I to się staje potrzebą jego duszy, jak narkoza, musem jak przeznaczenie, błogosławieństwem i przekleństwem zarazem.

3. Ż-ki urodził się artystą. To znaczy, że niemal od dzieciństwa obserwował swój świat nie jako kontemplator, czy przyrodnik, lecz sposobem artysty pod kątem widzenia piękna. Chłonął w siebie zrazu bezwiednie, a potem coraz akuratniej z rozmysłu literackiego materjał, który mu zmysły narzucały. Tłem uczuciowem była miłość przyrody z samego oswojenia, miłość uwrażliwiająca, budząca pewno instynkty odwieczne.

Bardzo ważną okolicznością, bodaj ważniejszą od wrodzonego daru jest trenowanie. Ż-ki trenował się w poezji literackiej prawie od dzieciństwa. Ćwiczenie w tym kierunku polega na dobrem zapamiętywaniu wrażeń. Jest to uczenie się zjawisk z księgi przyrody i życia na pamięć. Artystyczne zapamiętywanie nie ogranicza się ogólnem zanotowaniem treści zjawisk, lecz dąży do utrwalenia w pamięci ich indywidualnych postaci. U Żeromskiego to studjowanie było tem pracowitsze, że poczynał je pod hasłem realizmu w sztuce, które wówczas obowiązywało, z myślą o powieści, wymagającej dużej ilości faktów.

Widzimy z dzieł, do jak wielkich rezultatów doszedł w wyćwiczeniu swego postrzegania i pamięci. Podziwiamy dar tych wyjątkowych rachmistrzów, ktorzy od rzutu oka utrwalają w pamięci całe kolumny cyfr i z tego obrazu robią użytek w głowie dowolny. Czytając dzieła Ż-go—np. „Wiatr od morza"—jeszcze w większym stopniu podziwiamy ten rodzaj pamięci. On pamięta—zdaje się—każdą falę, którą kiedykolwiek widział na morzu. Każdy obraz morza jest inny i nie ogólnikowy, ale indywidualny, z danego momentu, przy takim a nie innym wietrze i oświetleniu. To samo z trawą, z piaskiem, drzewem, chmurą, deszczem i t. p.

Umysł Ż-go od dzieciństwa przeciążony był zapamiętanemi wrażeniami. Niewątpliwie, pamięć nie notuje obrazów w sposób fotograficzny i nie przechowuje ich w zwojach filmowych; nie mniej artysta realistyczny inaczej ustosunkowuje się do bogactw swej pamięci, choćby tam zostawały tylko równoważniki obrazów w śladach przeżyć uczuciowych. Umysł artysty przedewszystkiem przy odbieraniu wrażeń wydatkuje na percypowanie ich więcej uwagi, niż umysł przyjmujący je mimowiednie, lub przy małem wzruszeniu.

Nie będzie to chyba sprzeczne z dzisiejszemi poglądami na naturę procesu uwagi, jeżeli powiem, że w tej usilności kontrolowania swych wrażeń i wzruszeń, w pracy jakiej ta uwaga dokonywa podczas penetrowania i organizowania pokładów pamięciowych—wyładowuje się właśnie energja ruchowa, ta która przy innym treningu umysłowym byłaby skierowywana na wyobraźnię stosunku czynnego do świata. Tem się tłumaczy niezdatność artystów do życia, jak się mówi, słaba ich wyobraźnia społeczna i niepraktyczność życiowa. Tem się też tłumaczy, że artyści się odosobniają i z nieporadności i — co więcej—z tego poczucia, że mają w sobie samych świat wystarczający. Uwaga ta przyda się nam na później, gdy będzie mowa o społecznej wyobraźni Żeromskiego.

Wogóle zainteresowania umysłowe artystów, chłonących świat w siebie w konkretach, muszą być tem specjalniejsze, im bardziej realistyczny jest sposób odbierania wrażeń. Świadomość artysty ma wiele do roboty ze stanami podświadomemi, które są właściwie życiem owych „przeżyć". Ona je wydobywa z głębin pamięci pod naciskiem skojarzeń wzruszeniowych, szu-

kających sympolicznego wyrazu. Artysta, jako intelekt, znajduje się pod władzą żywiołu w nim nagromadzonego. Nie ma spokoju, póki go nie uprzedmiotowi w kształcie artystycznym i nie uzewnętrzni. Wtedy się uspokaja, nawet obojętnieje dla dzieła, które w stanie potencjalnym żyć mu nie dawało (dopóki nie przyjdzie nowa fala twórcza).

Gdy o tem wiemy, przedstawmy sobie młodzieńca w wieku szkolnym, od dzieciństwa trenującego się w sztuce, a zrozumiemy kłopot, jaki ma z nim szkoła, a zwłaszcza jego kłopot ze szkołą. Lepiej się uczą przyszli artyści, którzy późno dowiedzieli się o tem, że są urodzonymi artystami. Chłopiec trenowany przedwcześnie w artyzmie, nie może się uczyć. Może potem przez całe życie douczać się, ale tylko tego, co mu się będzie intelektualnie wiązać z potrzebami sztuki. Realista, miłośnik krajobrazu, Żeromski będzie się douczał wiedzy o ziemi, z którą uczuciowo był związany.

Na umysłowości Ż-go bardzo silnie odbiła się ta jednostronność ćwiczeń duchowych. Obcowanie bezpośrednie z faktami, branemi od strony estetycznej w ciągłych wzruszeniach, pielęgnowanie w pamięci obrazów i delektowanie się plonem uczuciowym wzruszeń, za mało pozostawiało w umyśle miejsca na ćwiczenie się w myśleniu oderwanem, które wydobywa człowieka z niewoli faktów i robi go panem poznania. Przeszkadzało mu to w robieniu postępów w matematyce i zawsze potem zniechęcało do porządkowania myśli przy pomocy ścisłej logiki. Żeromski myślał po malarsku, ceniąc nadewszystko stronę obrazową rzeczy; rozprowadzanie na fakty założeń ogólnych, jak i wyprowadzanie z faktów uogólnień nie było jego dziedziną popisową. Daje się to odczuć w jego powieściach wszędzie tam, gdzie pomysł zawisł od siły konstruktywnej myślenia.

Ta jednostronność myślenia plastycznego robiła go bezbronnym w djaletyce myślowej. Trudności rozumowania i przekonywania przezwyciężać musiał retoryką, zniewalał czytelnika urokiem słowa, któremu dodawał piękna odświeżaniem przez sięganie do zapomnianych źródeł językowych. I tu się bardzo różnił od Prusa, który późno wziął się do plastyki, a przedtem ćwiczył umysł w matematyce i logice. Prusa humor celował dowcipem, który mu się nasuwał z nagłego zestawienia pojęć. Żeromskiego humor miał podstawy sytuacyjne w widzeniu rzeczy śmiesznych, lub podawanych za śmieszne przez szyderstwo. Miał barwę uczuciową, nie myślową, suggerował czytelnikowi zestawienia rzeczy sympatycznych z antypatycznemi. Więcej w tym humorze było szydu niż ironji.

Prus w gruncie rzeczy był także melancholikiem, ale pokonywał się myśleniem; Żeromski zdany był na łaskę i niełaskę swego systemu uczuciowego.

4. Gdy zestawimy dwa typy różnych systemów wzruszeniowych, jak np. Kasprowicza i Żeromskiego, to dojdziemy do wniosku, że to, co mają w tej dziedzinie wspólnego — jest niczem innem, jak pewną postawą uczuciową wobec swoistego poczucia ż y c i a. Każdy z nich wzrusza się tem, że czuje proces życia. To jest podkład ich wzruszenia estetycznego, ustrojowego, dążący do uświadomień, a potem do wyrażenia w jakiś sposób, aby to cenne widzenia życia w odpowiedniej postaci utrwalić przez zobjektywizwanie w dziele sztuki.

Każdy człowiek przecież ma wrażliwość i odczuwa elementy, które przy zwróceniu uwagi, pozwoliłyby mu wyciągnąć wniosek: „a więc to jest właśnie życie". Wzruszenie estetyczne pozwala to poznać w porządku uczuciowym, agnostycznie. Daje ono tę wiedzę czującą, o której nieraz wspominał Żeromski, w której jest zarazem i wiedza i odpowiednik psychiczny aktywny, streszczanie się człowieka w jakiemś uczuciu zaadresowanem do danego przedmiotu wzruszenia. Ten przedmiot wzruszenia daje o sobie nie tylko wiedzieć, ale angażuje duszę w stan wzruszenia, który nazywamy tkliwością. Psychologja wzruszenia estetycznego tem się różni od procesów poznawania i stanów aktywnych ruchowych, że świadomość uczuciowa zatrzymuje oboje przed właściwemi progami rozumowania i woli, a stwarza ośrodek aktywności artystycznej, psychicznie samostarczalny, powiedzieć można ośrodek d e l e k t a c y j n y.

Szczególny ten dar odczuwania życia przez natury artystyczne ma za podstawę wrażliwość ustrojową. Na poziomie biologicznem obojętności życie samo nie daje odczuwać przedmiotowo, zlewa się bowiem z istnieniem psychicznem w tożsamość. Nazywa się ten stan normalny zdrowiem. Jest to zero wrażliwości na życie. Znakami, któremi życie daje o sobie znać są dopiero odczucia przyjemności i przykrości. To są pierwotne, nie dające się rozłożyć pierwiastki wzruszeń, zarodki wszelkiej radości i wszelkiego smutku. One to zawsze niemal z sobą w parze prowadzą grę psychiczną, we wrażliwym człowieku stanowią co minuta o temperaturze jego uczuć i zabarwieniu świadomości uczuciowej, a nawet, w zależności od stanu jego zdrowia, charakteryzują go w pewien stały sposób. Osobniki zdrowe zasadniczo mają dobre samopoczucie *(euforia)*, chore zaś są smutne (melancholja).

Żeromski był melancholikiem. W jego wzruszeniu estetycznem, które jest zasadniczo momentem radosnym, z radością walczył smutek.

Smutek jest pierwotnym, podścieliskowym stanem „przykrym", a tem się różni od innych wzruszeń przykrych, jak gniew, strach, wstręt, że nie dąży do usunięcia przedmiotu, który budzi to uczucie, lecz ma tendencję lubowania się we wszystkiem, co smutku przysparza. Smutek w połączeniu z tkliwością wytwarza wzruszenie złożone litości, której znowu nie można utożsamiać z uczuciem miłości z jednej strony, a z uczuciem sympatji (współuczuwania) z drugiej strony. Stany te nie pokrywają się całkowicie. Litość jest tkliwością, która kierowana smutkiem, szuka przedmiotów przykrego wzruszenia. Potęguje się, gdy do wzruszenia dołącza się miłość lub wyobraźnia cudzego cierpienia, leżąca w sympatji, ale w zasadzie niema w sobie twórczych pierwiastków społecznych, które są w miłości czynnej. Litość, reagująca odruchowo próbami ratunku na widok przetrąconego zajączka, zdeptanej trawy, chorego drzewa, trupa na ulicy, przy poczuciu bezsilności i pesymistycznym poglądzie, że nic od cierpień świata nie uratuje, może się dać zagłuszyć przemożnemu smutkowi, który będzie szukał u swego źródła udręki, dla tem większego smutku. W odniesieniu do ludzi tkliwość na tle smutku może się wyrażać w fil-antropji, ale może też przejść w stan miz-antropji, a nawet w dążeniu do odżywiania smutku dojść do okrucieństwa.

Przypomnijmy sobie w jednej z najwcześniejszych nowel Żeromskiego scenę, jak chłopcy wiejscy bawią się wroniętami wyrzuconemi z gniazda. Wyrostek, nie zdolny do współczuwania, łamał ptaszętom nogi i śmiał się jak skaczą niezgrabnie. Nad temi wroniętami i chłopcami stoi w utworze poetyckim pisarz i patrzy na scenę ze smutkiem podwójnym—poprzez litość dla ptaków i poprzez zgrozę na chłopców. Ale w biernem wzruszeniu estetycznem, mającem na celu oddanie tego smutnego obrazu, jest jakaś rozkosz estetyczna sycenia się przedmiotem smutku i—okrucieństwo wobec czytelników, których autor zniewala, aby dzielili z nim to wzruszenie.

Co Smętek w „Wietrze od morza" widział dokoła, gdy świat poruszył swoją pieśnią wiosenną na ligawce? Straszne są te stronice, w których Ż-ki to działanie pieśni Smętku ilustruje: „Wzrok Smętka tak straszliwie płomienny i zapamiętały, jakby w nim zawarła się w tej chwili moc wszystkich drapieżnych zwierząt, mordujących ptaków, zabójczych gadów, skorupiaków i ryb, jadowitych komarów, trujących jagód, roślin i grzybów w jedno zestrzelona, potęga trucicieli i morderców, (wzrok ten) miotał się w górę i na strony. Zewsząd niósł się ku niemu poklask tajemniczy, sekretna pochwała, hymn jednej jedynej zgody, zarazem czucia, myśli, żądzy, wysiłku i dokonania w skutku śmiercionośnym. Łamanie stawów, chłeptanie krwi, rozkosz, gdy od zadanego ciosu, lub jadu serce drży, szamoce się i przestaje uderzać, wzrok zagasa i moc życia się kończy — owiewały jego słuch we wszechistnienie wydany". (Str. 37).

Tak jest, Smętek kocha cierpienie, które go rodzi.

5. We wzruszeniu poetyckiem niezmiernie ważną gra rolę dar przenoszenia w siebie domniemanych stanów psychicznych, wyczuwanych w innych istotach. Ten dar sympatji w szerokiem znaczeniu (odróżnić je trzeba od popularnie pojmowanej sympatji jako życzliwości) jest właściwością natur wrażliwych na objawy życia. W tem znaczeniu jest to dar rozpoznawania siebie w istotach innych przez domniemanie, że stany uczuciowe, znane osobiście, właściwe też są innym i przez szukanie potwierdzenia tej tożsamości w przejawach zewnętrznych. Natura poetycka ma szczególnie tę zdolność rozwiniętą, co w pewnym grubszym zakresie podziela z człowiekiem pierwotnym. Skłonny jest sympatyzować ze zwierzętami i roślinami, stąd zdaje się też pochodzić pogląd antropomorfizujący przyrodę.

Poeta szuka siebie w innych i znajduje. Ma wrażenie, że świat się w nim odbija, jak w lustrze, tymczasem jest to jego własne odbicie, które mu jest pomocne do tem pełniejszego sycenia się swoją indywidualnością. Jednostki zdrowe wchłaniają przedewszystkiem radość życia i tem własny pęd odkarmiają; tem boleśniej na tem tle bezwiednem uwydatnia się każdy ból wyczuty, wszystkie uczucia przykre, które dla niej są — zupełnie prawidłowo — zaprzeczeniem życia. Gdyby uczucia przykre, cierpienia były zasadą życia, nie miałby właściwie smutnego uroku dramat, który, cokolwiek myślą pesymiści, jest wyjątkiem z zasady.

Ludzi chorych sympatja wprowadza w odczuwanie przedewszystkiem uczuć przykrych. Na tem tle wytwarza się melancholja, która poetę utwierdza w smutnej solidarności ze wszelkiem cierpieniem. Mówiłem już poprzednio, że melancholja lubuje się w przedmiocie smutku swojego i że dlatego Żeromski bierze je z takiem upodobaniem za temat artystyczny. Dramat stały jest już nie dramatem, lecz okrucieństwem losu; poeta opiewający ten los, żeby na tem ciemnem tle malować, musi wydobyć z okrucieństwa całą skalę coraz mocniejszych efektów. Robi to nie tylko dla celów artystycznych; wrażliwość jego, będąca racją bytu artysty, domaga się sama coraz silniejszych wzruszeń. Żeromski nie mógł zawrócić do sielanki.

W zdrowej, żywotnej organizacji poetyckiej sympatja wyraża się nie tylko w odczuwaniu radości, jeszcze żywiej może odczuwać smutki, ale zasadnicze jest to, że gra w niej instykt odczuwania wogóle życia, wyczuwanie tego, co jest dodatnim życia momentem, co sprzyja jego trwaniu. Dlatego odzywa się w niej wyobraźnia życia bez miary i końca, ma odczucie wieczności. Odczucie metafizyczne życia jest darem zdrowia, równoważnikiem umysłowym chęci życia. Żeromski nie miał zupełnie organu metafizycznego. Świat dla niego był okrutną klatką. Nie będzie szukał przedłużeń metafizycznych, kto cierpi wogóle na myśl o bycie.

Człowieka zdrowego zdejmuje radością estetyczną widok żyznego pola — do niego przemawia z ziemi życie. Żeromski z całem zadowoleniem artysty opisuje ziemię nędzną. Syci swoją melancholję niedolą złej ziemi, a robi to tak jaskrawo, za sprawą sympatji z człowiekiem biednym, że gdyby nie wzmiankował okolic (Kieleckie, Opoczyńskie i Radomskie), to możnaby myśleć, że ten człowiek mieszka gdzieś na wydmach Sahary, lub na skale („Słowo o Bandosie").

Ludzie zdrowi zmysł swój poetycki sycą wyobraźnią rozlewności swojej w otoczeniu. Z nieprzepartą mocą narzuca się im poczucie sympatyczne, że oni są cząstką wszechstworzenia, że wszystko niegdyś stanowiło jedną całość, że to wszystko dzisiaj w nich zabiera swój głos, że wszystko w przyrodzie jest im krewne, a ludzie są bliscy aż do moralnego obowiązku ich dźwigania. Sympatja, jako poczucie wspólności, budzi w nich miłość, a może miłość życia odwrotnie budzi w nich dar współuczuwania z otoczeniem we wszystkiem. Na tem tle w powszechności zarysowuje się dodatni rozwój treści społecznego współżycia, a to znowu odkarmia przez kulturę zdolność współuczuwania. O sympatji w stosunkach ludzkich w rezultacie trzeba mówić, jako o zasadniczem uczuciu społecznem. Żeby życie społeczne mogło istnieć, czynnik sympatji musi w sumie górować nad czynnikiem antypatji.

Antypatja polega na zamykaniu duszy przed pewnemi zjawiskami, jednostkami, kategorjami. Jest to brak potrzeby duchowej interesowania się czemś czy kimś, a w ten sam sposób, jak sympatja, żywiona miłością, potęgowana jest uczuciami odwrotnemi—awersji lub nienawiści.

Żeromski, o ile zdolnością sympatji jednostronnej bo zadawalanej wyczuwaniem cierpień, celował jako artysta, o tyle zubożał się antypatją do tego, co nie wchodziło w zakres jego tkliwości i patosu cierpienia. Tam, gdzie go nie prowadziło uczucie sympatji, tam odcinał się antypatją. To mu było potrzebne, żeby w cudzych cierpieniach i okrucieństwach widzieć spotęgowane własne cierpienia i okrucieństwa, które nad nim spełnia los. Wszystko poza tem właściwie ginęło dla niego w niewiadomem antypatji. Antypatja sama nic nie daje poznawczo, bo usuwa możliwość wejścia w stany istoty od siebie oddalonej, uczuciowo zaś gdy towarzyszy jej nienawiść, uwydatnia przez zestawienie przedmiot sympatji.

Żeromski w tych warunkach nie mógł wyrobić w sobie wyobraźni ani społecznej, ani religijnej. Tkliwość jego, nawet gdy była litością, więcej zawdzięczała swego pochodzenia smutkowi cierpienia, niż miłości, zabardzo grodziła się antypatją, aby mogła stać sie uczuciem miłości społecznej, opartej na sympatji życzliwej dla wszystkich grup i na intuicyjnem wyczuwaniu interesu wspólnego. I w uczuciu religijnem na spodzie leży wzruszenie radosne; z niego wyrasta wdzięczność dla Tego, ktory darował życie. Wtedy, gdy człowiek raduje się z życia. Ale pesymizm życiowy nie sprzyja rozwojowi w duchu franciszkańskim.

ZYGMUNT WASILEWSKI

(Dok. n.)

LIBERUM VETO

S. Kłyk i W. Górski. — Wielka skala i jej kraniec. — Burza nad bagnem. — Gdzie tak się dzieje jak u nas? — Zdrowie Polski. Trzeba ją kochać i wierzyć. — Świątynia Jerozolimska i jej kramy.

W GÓRACH Morskich, w Brazylji, osiadł na plantacji bananów chłop polski. Zaszedł do niej podróżnik M. Lepecki, autor świeżo wydanej książki „W krainie jaguarów“ (Warszawa 1927). Znalazł chatę pustą. Rozejrzawszy się, zauważył między nędznemi obrazami przylepioną na ścianę kartkę, zapisaną wielkiemi i niezgrabnemi głoskami tej treści: „Nazywam się Stanisław Kłyk, Polak kolonista z Gór Morskich — Wczoraj dowiedziałem się, że Moskale chcą nam znowu Polskę zabrać, więc zostawiam tę moją kolonję na opiece Boskiej i jadę do Warszawy. Dnia 4 września 1920 r.“ Czy Kłyk dostał się do kraju, czy wziął udział w wojnie i co się z nim stało — nie wiadomo. Być może, iż gdzieś spoczywa w zbiorowym grobie „nieznanego żołnierza“.

Przed paru tygodniami Wojciech Górski, który wychował i wykształcił w swej szkole tysiące młodzieży, na obchodzie pięćdziesięciolecia zacnej, umiejętnej i płodnej pracy pedagogicznej, darował narodowi wspaniały gmach szkolny z dodatkiem 100,000 zł., co razem dosięga miljona.

Warto zapytać tych wszystkich, którzy Polskę okradają i zawichrzają, którzy dla osobistych lub partyjnych korzyści wyzyskują jej skarb i władze, którzy szerzą bezprawie i grabież — czem są i za co sami się uważają wobec tych czcigodnych obywateli i patrjotów? Czy im nie przemknie przez głowę myśl, że są nędznikami i karłami, płazami i drapieżcami? Czy ich ani na chwilę nie ogarnie wstyd i nie udręczą wyrzuty sumienia? Na jak olbrzymiej skali rozkładają się odmiany i różnice naszego nieszczęśliwego społeczeństwa! Nieszczęśliwego, bo gdy przy niższym jej krańcu stają gromady, przy wyższym nieliczne jednostki. Tu Zamoyscy, Bąkowskie, Górscy, Kłyki, tam tłum. Ten tłum wmawia w nas, że buduje niepodległą Polskę, że ją kocha i wzbogaca, że nią mądrze i uczciwie rządzi, że codziennie powinniśmy budzić się z coraz większą radością życia i z wiarą coraz mocniejszą w pomyślną przyszłość! My tymczasem widzimy ciągle ogromne bagna, nad któremi szaleje burza bezprawia. Czyżbyśmy stanowili pod tym względem wyjątek wświecie? Jeżeli powyższe pytanie podrywa czyjąkolwiek wiarę w moralne, społeczne i polityczne odrodzenie się Polski, to niech się zwątpieniu nie poddaje. Popełniłby bowiem taki sam błąd, jakiegoby się dopuścił, uznawszy swój ogród za zupełnie stracony dlatego, że wicher przewrócił w nim kilka drzew, połamał niektóre gałęzie a robactwo objadło liście. Ogród przez te straty nie zginął, jeśli tylko drzewa były zdrowe i grunt pożywny. Polska jest ciałem i duchem zdrowa, posiada dużo pierwiastków i sił żywotnych. Trzeba tylko jej wewnętrzną moc pobudzać i od osłabiających wpływów chronić, trzeba ją leczyć z przypadkowych chorób, zabezpieczyć od zarażeń, trucizn, pasorzytów, uwodzicieli i wrogów, a nadewszystko trzeba ją nawet w upadku i nieszczęściu kochać. Ona jest tego warta, ona może i powinna być przedmiotem naszej szczerej i gorącej miłości nie dlatego, że tak nam nakazuje obowiązek polityczny, ale że tego uznania jest godna. Jak zmartwychwstała, żywa, z grobu niewoli, tak wyleczy się ze wszystkiego, co ją wycieńcza i otrząśnie się ze wszystkich pasorzytów, które ją obżerają. Może my, stojący u kresu swej drogi, jak w jej środku, nie doczekamy, ale następne pokolenia ten radosny widok zobaczą. Cieszmy i pokrzepiajmy się ich szczęściem.

Może w tym widoku nie będzie już tej sromoty, która zohydza nasze walki polityczne a zwłaszcza wszelkie wybory. Znęcano się i plugawiono z niezwykłą zaciekłością w wojnie stronnictw o miejsca w nowej Radzie miejskiej. Wszystkie szarugi w ciągu sześciu lat niepodległości nie pokryły ścian domów i parkanów taką warstwą brudu, jakim je pokryły rozlepione odezwy agitacyjne. Niepodobna było niektórych doczytać do końca, tyle z nich tryskało wstrętnego błota, bezczelnych kłamstw i oszustw, denaturowanych alkoholów dla spojenia wyborców do bezprzytomności. Cały ten syk gadów, ryk drapieżców, strzyki skunksów, wybryzgujących z tylnych gruczołów cuchnącą ciecz na przeciwników, wrzaski małp zawieszonych ogonami na gałeziach—wszystko to czyniło z Warszawy dziką puszczę. Dreszcze przebiegały po duszy człowieka moralnie czystego i wrażliwego na myśl, że mógłby się znaleźć w tej walce i w tym odrażającym zgiełku. I gdyby przynajmniej jego uczestnicy posiadali cnotę szczerości dzikich zwierząt, gdyby, jak ryk, wyraźnie powiedzieli, ze im chodzi o łupy, o karmiące i toczące ich zazdrosny egoizm zdobycze. Ani słowa o tym rzeczywistym celu, tylko łgarstwa o swej bezinteresowności i uszczęśliwieniu ogółu. Po każdym takim wybuchu zwulkanizowanej w wyborach złości pozostaje coraz grubszy osad nienawiści, oszukiwania opinji społecznej. Już dziś ona nie wie, co jest prawdą, co fałszem, kto jest uczciwym, a kto łotrem, kto chce wiernie służyć Polsce, a kto ją dla siebie wyzyskiwać.

Właściwie plakaty wyborcze są tylko fotograficznem odbiciem pism partyjnych, stanowiących ogromną większość prasy. W nich, zwłaszcza po lewej stronie, te same kłamstwa i zniewagi tylko w jeszcze jaskrawszych barwach. Mniejsza o papierowe ścierki paszkwilu z czerwonemi i czarnemi znakami, ważniejszym i smutniejszym jest fakt sekciarskiego zacieśniania się widnokręgów w publicystyce czystej i rzetelnej. Wytworzyło się w niej jakieś kwakerstwo polityczno-społeczne, odtrącające w oburzeniu najmniejsze odchylenie się przekonań od pionu surowej prawowierności, zasłanianie okien przed światłem, padającem nie z oznaczonego ściśle kierunku, podział artykułów dziennikarskich, jak mięs w jatce żydowskiej na „trefne“ i „koszerne“. Nigdy prasa polska nigdy nie miała tylu odcieni w swych kolorach, tylu różnych i złych twarzy, tylu płaszczyzn i rysunków, bądź pozbawionych trzeciego wymiaru, bądź karykaturalnych. Jeżeli narzekamy na nadmierne rozdrabnianie się stronnictw w Sejmie i na zgubne jego skutki, to nie powinniśmy podtrzymywać go w prasie i uniemożliwiać wytworzenia się w niej „stałej większości“, grup o wielkich obwodach i szerokich podstawach ideowych. Inaczej będzie ona stanowiła obozowisko małych, niezwiązanych z sobą namiotów, sąsiedztwo kłócących się kuchni politycznych, zbiór zborów sekciarskich. Zapewne, wszędzie prasa podobna jest do świątyni na grobie Chrystusa, w której rozmaite, nieprzyjazne wyznania mają swoje kaplice i którą z zewnątrz otaczają liczne, szachrajskie kramy. Ale to nie znaczy, ażebyśmy nie powinni starać się nie tylko o usunięcie tych kramów, ale również o pogodzenie tych kaplic. Świątynia jerozolimska powstała, kiedy chrześcijaństwo było już mocno postawione, a Polska ma dopiero fundamenty i chwiejne rusztowanie, często przerabiane i ciągle podpalane.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

ANTYNOMJE

WIEMY dobrze, jak niejednolita ideologicznie jest tak zwana „grupa majowa“ i jak silnie fermentuje wewnętrznie. Zarodkiem tego fermentu jest przedewszystkiem ów przedziwny aljans tężyzny z żydowszczyzną, który zaznaczył się ze szczególną siłą od zarania „nowej ery“. Trudno bo było oczekiwać spiżowych akordów z połączenia przepitego basu Zagłoby z piskliwym tenorkiem Firułkesa. Pobrzękiwanie szabelką, kapralska chwackość— i „wszechludzkie“, masońsko-pacyfistyczne-wolnomylicielskie minki i uśmieszki. Zagłoba chrapie pod ławą, a panienka z „Imci“ coś mu tam gada o niewyzyskanych mocach ducha — kokieterje faszystowskie, propaganda trzeciorzędnego mistycyzmu, religja „lóż“ — wszystko do kupy. Dziwaczna ta sytuacja powstała stąd, że bagnet w pewnym momencie doszedł do przekonania, że — trudno — myśleć jednak trzeba, jest to wprawdzie funkcja podrzędna i niesympatyczna, ale „do pewnego stopnia“ konieczna. A że lubi się „w takich razach“ wyręczać „specjalistami“—więc kiwnął na jarmułkę, która tej funkcji podjęła się ochoczo—była to dla niej nielada gratka*). Jarmułka jak jarmułka: myśli po swojemu i zaczęła też po swojemu intelektualizować ideologję bagnetu na nutę liberalno-pacyfistyczną. Stworzyła się sytuacja paradoksalna: grupa, której zasadniczemi cechami są: męstwo, wigor fizyczny i (co przy niechlujnej gospodarce duchowej jest nieuniknione) awanturniczość i postawa prowokacyjna, wytworzyła sobie ekspozyturę ideologiczną o rysach niezdecydowanych, chwiejnych, przesiąkniętą duchem pseudo wiary w anemiczne ideały pacyfistyczno-humanitarne. Obóz nacjonalistyczny, otwarcie wyznający nieufność wobec pacyfizmu, widzący w wojnie jedyną możliwą odpowiedź (przy założeniu, że naród nie chce popełnić samobójstwa) na zarysowujące się wyraźnie (wbrew oficjalnie reżyserowanym pozorom) plany zaborcze jednych narodów przeciw innym, uważający, że wojna nie jest mniej moralnym środkiem podboju od środków pokojowych, wyznaje „militaryzm“, będący tylko nieuniknioną konsekwencją poglądów nacjonalizmu na człowieka i społeczeństwo, konsekwencją jego psychologji i socjologji.

Zdawałoby się, że tam, gdzie panuje inna, sprzeczna z tą psychologja i socjologja, w grupie „majowej“ właśnie powinniśmy się spotkać z głęboko zakorzenionym antymilitaryzmem. Ale cóż widzimy? Nacjonaliści mówią o wojnie poważnie, w ciężkim poczuciu jej konieczności, ze ściśniętem raczej sercem. Zato ci, co kumają się z „paneuropejskim“ pacyfizmem, śpiewają sobie chwacko: „Jak to na wojence ładnie“. Ta dysharmonja między rzeczywistemi usposobieniami grupy „majowej“ a jej oficjalną ideologią, która dzięki rozgardjaszowi duchowemu, właściwemu tej grupie, do niej się przyplątała — nie mogła nawet tutaj, w atmosferze pogardy dla wszystkiego, co jest myślą i planem, nie wzbudzić odruchów refleksji i dążenia do rzetelniejszego określenia swej fizjonomji. Toczące się procesy rozwodowe różnych grup majowych są tej reakcji znamiennym wykładnikiem. Odbywa się filtrowanie, akcentują rozbieżności, klaruje fizjonomja. Coraz wyraźniej oddziela się rdzeń od nalotu, zarysowuje się pewna podstawowa *bona species* ze wszystkiemi swojemi wadami i zaletami, w swej postaci czystej, pierwotnej.

Jest to fakt radosny z dwóch względów: 1) bo wogóle dobrze jest, kiedy się wie, czem się jest w rzeczywistości, 2) bo dowodzi, że drapujące się w humanitaryzm teorje „paneuropejskie“ nie znajdują podatnego gruntu do rozwoju w żadnem z ugrupowań rdzennie polskich. To wydzielanie się polskiego ośrodka z mgławicy pomajowej pozwala nam też na ocenienie już dzisiaj, czem ten ośrodek jest i jaką w życiu narodowem może odegrać rolę.

Czem jest? — Żołnierszczyzną. W tem określeniu zamyka się wszystko, co o tej grupie można powiedzieć dodatniego i ujemnego. Aby zaś ocenić jaką rolę owa żołnierszczyzna może w życiu narodowem odegrać, trzeba bliżej określić jej rodzaj. Tutaj jej słownik przychodzi nam z pomocą. Charakterystyczna jest rola, którą w języku tej grupy odgrywają zdrobniałe formy rzeczowników, oznaczających przedmioty lub pojęcia, mające związek z czynem orężnym. Nie mówi się „wojna“ lecz „wojenka“, nie „żołnierz“ lecz „żołnierzyk“, „szabelka“, „konik“. Tkwi w tem nuta fanfaronady i zakochanego w sobie partykularyzmu. Czuje się w tem partyzantkę, jakąś wyprawę wojenno-myśliwską, przygodę. Oni właśnie są ludźmi przygody, przygoda jest im potrzebna do życia. I tu znowu paradoks psychologiczny: to nawskroś polskie odczuwanie uroku wojny jako romantycznej przygody spotykamy u ludzi, którzy na arenie światowej występują pod szyldym „paneuropeizmu“. Nacjonaliści zaś, odżegnywający się od „Paneuropy“ odczuwają wojnę po europejsku, jako zawiłą, wymagającą kolosalnej kultury nerwów grę, którą trzeba wygrać. Nie ma tu miejsca na „łezkę“ i „awanturkę“. Obóz nacjonalistyczny ma daleko żywsze, głębsze związki z Europą, niż obóz, któremu nie wystarcza już zwykła sobie Europa, który musi mieć „Paneuropę“.

Dobrze jest, jeżeli naród posiada grupę mężczyzn, zaabsorbowanych całkiem życiem fizycznem, grupę, mającą żądzę walki i wiarę w potęgę swego ramienia. Taka powinna być właśnie armja narodowa. Cechy te posiada niewątpliwie t. zw. „piłsudczyzna“, ta prawdziwa, oczyszczona, a raczej oczyszczająca się z pomajowych nalotów. I to mogłoby być jej jedyną, bardzo ważną zresztą historyczną racją bytu. Mogłoby być, gdyby nie dwie przeszkody zasadnicze, paraliżujące, jak dotąd, twórczy rozwój jej sił. Oto one: 1) ideologja „wojenki“ 2) wiara w możliwość organizowania życia narodowego od zewnątrz, od strony, aby tak rzec, czynu fizycznego. Wojenka—to symbol hazardu, igrania z losem, prowokowania niebezpieczeństw, zawadjackiej ufności w dobrą gwiazdę swej „szabelki“, to wskrzeszenie chwackości i krewkości szlacheckiej, ze wszystkiemi jej zaletami i wadami: bitnością, odwagą, gotowością do ofiar, ale i krótkowzrocznością, śmieszną chełpliwością i tą typową powierzchownością polską, który murem chińskim odgradza nas od tego, co jest najtęższe i najlepsze w Europie i która prowokuje w Europejczyku ten specyficzny, ironicznie-pobłażliwy

---

*) To połączenie żołnierszczyzny z międzynarodówką liberalno-masońską nie jest nowością. Grupy powstańców, konspiratorów, ludzi odważnych, ofiarnych i łaknących czynu były tamtej organizacji zawsze potrzebne, były w jej rękach narzędziem realizowania swych planów. Ale dotąd związek ten był wiadomy zaledwie wybranym, a plan, którego wykonawcami były grupy powstańcze, zbyt szeroki, na zbyt odległą przyszłość obliczony, aby był wyczuwalny w praktyce życia codziennego. Konfrontacja tych obu czynników nastąpiła dziś dopiero, i dobrze się stało, że nastąpiła. Ujawniała ona powierzchowność aljansu. Żołnierszczyzna nigdy nie będzie patrzyła na wojnę, rebelję, wogóle czyn orężny, jako na etap, prowadzący do jakiegoś dalszego, wrogiego wojnie celu. Czyn orężny jest dla niej synonimem życia i siły. Odwrotnie, rzetelny pacyfista, może usprawiedliwić wojnę jedynie jako etap na drodze do jakiejś tam „lepszej przyszłości“.

stosunek do Polski i Polaków. W każdym narodzie są powstańcy, siewcy entuzjazmu, miłośnicy bitki i czynu orężnego—oraz mężowie stanu. W życiu narodowem oba te czynniki są potrzebne, oba spełniają w nim zarówno niezbędną rolę. Źle jest jednak, kiedy pierwsi wchodzą w rolę drugich. A tak jest właśnie u nas. No i nie łatwe jest odwrócenie tego porządku. Stoi tu na przeszkodzie nałóg myślenia, zbyt głęboko zakorzeniony wśród naszych majowców, aby go można było wytrzebić djalektycznie, a sprzyjający lekceważeniu typu męża stanu na korzyść powstańca-konspiratora— to przeświadczenie, że wszystko da się osiągnąć przez czyn fizyczny, przez narzucenie narodowi siłą pewnego porządku społecznego, ułożonego dedukcyjnie i czyniącego zadość wymaganiom zdrowego rozsądku. Praca wewnętrzna człowieka nad sobą, długie, nieefektowne zewnętrznie napięcia sił psychicznych społeczeństwa, mozolne architektonizowanie ducha — wszystko to jest w pogardzie u ludzi omawianego typu. W ich pojęciu trzeba być tylko „dobrym chłopem" i mocno hukać pięścią w stół. Ludzie ci, dzięki wielkiemu ubóstwu środków działania i niezmiernie skąpej wiedzy o człowieku, muszą iść przez życie, wsparci jedynie na własnem męstwie i własnym kułaku... Z drugiej strony ta fatalna ograniczoność działania, na którą są skazani, ta prostolinijność ich psychiki jest, trzeba to przyznać, ich siłą, ich jedyną siłą. W interesie narodu leży, aby tę siłę wyzyskać.

Ci, których stać na zrozumienie procesów psychicznych i socjalnych w całej ich głębokości, których socjologja nie utonęła w kurzu i bibule, lecz zachowała świeżość zmysłu obserwacyjnego, mogliby tej cennej sile społecznej utorować właściwą drogę działania, skierować ją na wytwarzanie dzieła wielkiego, armji narodowej. Historja, która ma czas i z megalomanją ludzką mało się liczy, tą właśnie zdaje się zmierzać drogą. Proces klarowania się t. zw. „piłsudczyzny" jako żołnierszczyzny można uważać za pierwszy tej drogi etap. Jeżeli optymistyczny ten pogląd jest słuszny,—rola nacjonalizmu polskiego wobec tej sytuacji byłaby jasna: dopomagać wszelkiemi siłami do wykrystalizowania się tego, co w tej grupie jest istotnie żywotne, i odciąć ją od prądów ideologicznych, obcych jej duchowi, a którym poddaje się dzięki wewnętrznej bezbronności swojej.

J. E. S.

WOBEC STANISŁAWA AUGUSTA

Otrzymaliśmy następujący artykuł, który podajemy jako materjał do interesującej dyskusji.

NIE wiem, czy Polacy są we wielu rzeczach podobni do Ateńczyków, ale w jednej napewno— w niesprawiedliwości wobec swoich wielkich ludzi.

Może najbardziej ucierpiała przez to pamięć ostatniego Króla. Nie mam też zamiaru przedstawiać procesu wytaczanego przez setkę lat Stanisławowi Augustowi, który stał się kozłem ofiarnym za winy dziesiątek pokoleń i za fatalny zbieg okoliczności międzynarodowych w końcu XVIII w. Wystarczy powiedzieć, że badania historyczne ostatnich kilkudziesięciu lat (Kalinka, Korzon, Tatarkiewicz i in.). kazały zmienić popularny wrogi sąd o królu. Kazały uznać w nim jednego z najmędrszych monarchów polskich, wodza duchowego epoki oświecenia, na której wycisnął piętno swej rozległej myśli i wszechstronnej, twórczej inicjatywy kulturalnej.

Nie zależy mi ani trochę na tuszowaniu przewin królewskich. Stanisław August miał słaby charakter, brak mu było osi moralnej w życiu, stąd tragiczne załamania, wątpliwe poczucie honoru, nieraz brak godności monarszej i narodowej. Cechy te wszakże nie są indywidualną własnością króla, są to zamiona całej epoki. Degeneracja uczuć etycznych — obok wybitnego rozwoju nauki, sztuki i polityki — jest głównym objawem wieku oświecenia. Cała ówczesna atmosfera, którą oddychali ludzie cywilizowani, była przesiąknięta rozkładem moralnym. O tem nie wolno zapominać, sądząc jednostki. Ówczesne zatarcie pojęć dobra i zła a panowanie tylko rozumu i piękna przypomina schyłek starożytnego Rzymu.

W okresie porozbiorowym zapomiano wielu postaciom dziejowym XVIII — np. Kołłątajowi — ich grzechy, pomnąc na ich zasługi. Króla, rzecz to dla psychiki ludzkiej zrozumiała, potępiano najsrożej. A przecież, jeśli nawet uznamy, że Stanisław August sam przyczynił się do upadku Polski, to musimy równocześnie pamiętać o tem, że ostatni król przyczynił się do utrzymania bytu swego narodu, wychowując mądrze i w duchu miłości ojczyzny młode pokolenia. Komisja Edukacji Narodowej i Korpus Kadetów — oto są wielkie sprzeczności z grzechami króla, ale bo też cały wiek oświecenia jest najeżony sprzecznościami.

Znajomość epoki Stanisławowskiej jest u nas mała albo jednostronna, jak np. w trylogji historycznej Reymonta*). W szerokich kołach inteligencji panują często do dziś opinje krzywdzące. Piszę to *ex re* bezimiennej notatki „Na marginesie", która pojawiła się w ostatnim zeszycie „Myśli Narodowej":

> „... co znaczy zamiar ochrzczenia jakiejś ulicy w Warszawie imieniem jednego z najgorszych królów, Stanisława Augusta? Jeśli tego Ciołka nie możemy wyskrobać z kart historji, to przynajmniej nie czcijmy go trwałą pamiątką".

Przypominają się gwałtowne a jednostronne zarzuty konfederatów barskich, którzy pierwsi przemalowali króla na czarnego djabła, przypisując mu niedorzecznie nawet te winy, za które sami powinni się byli w piersi uderzyć. Zapewne autor notatki w „Myśli" kierował się szlachetnemi uczuciami, ale powinien był zdawać sobie sprawę z tego, iż gdyby „wyskrobać z kart historji" Stanisława Augusta, to byłby to rabunek dużego szmatu kultury polskiej.

Autor notatki obawia się, iż jeśli „...pójdziemy dalej w kierunku zapomnienia o występkach i pamiętania o zasługach, to może nazwiemy Zjazd lub Bednarską—ulicą Ponińskiego, który zbudował pierwszy most na Wiśle". Nie trzeba przesadzać. Potomkowie powinni pamiętać zarówno o występkach, jak i o zasługach i mierzyć je właściwą miarą.

Warszawa ma tyle do zawdzięczenia energji i zamiłowaniom estetycznym, naukowym i kolekcjonerskim Stanisława Augusta, że uczczenie go „trwałą pamiątką" w formie ulicy jego imienia jest po prostu obowiązkiem miasta. A obowiązkiem Polski jest sprowadzeniem z Petersburga prochów ostatniego króla i oddanie ich w straż podziemiom katedry Wawelskiej. Bądź co bądź jest to jedna z najwybitniejszych postaci dziejowych i—monarcha na tronie polskim.

MIECZYSŁAW PISZCZKOWSKI

*) Na jednostronność Reymonta zwracałem uwagę w art. „Trylogja historyczna Reymonta", Słowo Polskie. R. XXX Nr. 25 dn. 25 stycznia 1925 r.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Zamordowanie pos. Wojkowa. — Prowokacje niemieckie. — Jedyne „reformy". — Atmosfera „sanacji". — Zjazd młodych.

POSEŁ sowiecki w Warszawie, Piotr Wojkow, zamordowany został dn. 7 b. m. przez Borysa Kowerdę, z pochodzenia białorusina, który zeznał, że zabójstwa dokonał z pobudek politycznych, jako wróg bolszewizmu. Pomimo natychmiastowego schwytania mordercy i ustalenia charakteru zbrodni, rząd sowiecki wystosował pod adresem rządu polskiego notę, wyraźnie agitacyjną, na którą rząd polski odpowiedział w tonie najdalej posuniętej uprzejmości. Widoczne było, że rząd obecny nieustannie liczy się z faktem, iż polityka jego przez opinję zagraniczną niejednokrotnie pomawiana była o zwracanie się przeciw Rosji, a wobec tego wystrzega się stwarzania najmniejszego nawet pozoru, któryby mógł być wykorzystany przez wrogą Polsce agitację. Na pytanie korespondenta „*United Press*", czy przedstawiciele Sowietów dopuszczeni będą do udziału w śledztwie w sprawie morderstwa, odpowiedział min. Zaleski, że rząd polski komentuje odnośne przepisy „tak obszernie, że przyjmuje, iż poszkodowane jest w danym wypadku państwo sowieckie, wobec czego *chargè d'affaires* Z.S.S.R. p. Uljanow będzie mógł w charakterze przedstawiciela Sowietów brać udział w śledztwie". Jednocześnie odpowiedź polska na notę Sowietów stwierdza, że rząd polski „gotów jest rozpatrzeć jaknajprzychylniej ewentualne życzenia Z.S.S.R. co do odszkodowania rodziny posła Wojkowa, gdyby ona sobie tego życzyła".

Prowokacje wobec Polski ze strony Niemiec są zjawiskiem tak częstem, że niektóre koła naszej opinji coraz widoczniej zaczynają się do nich... przyzwyczajać. Po niedawnej prowokacyjnej mowie wicekanclerza Hergta, która ze strony polskiej z niesłychanie łagodnym spotkała się sprzeciwem, nastąpiła obecnie mowa królewiecka ministra Grzesinsky'ego, a w niej znów oficjalne oświadczenia na temat... „bezsensowności kurytarza pomorskiego"! Czyż w tych warunkach możliwe jest jakiekolwiek zacieśnianie choćby tylko „kulturalnych stosunków" między Polską i Niemcami, o co pewne wpływowe sfery, mniej na kwestje honoru narodowego wrażliwe, tak usilnie dziś u nas zabiegają?..

W polityce wewnętrznej zupełny zastój, oddawna już nie wspomina się ani słowem o „wielkiej przemianie", o „radosnej twórczości". o „przebudowie ustroju"... W jednej dziedzinie tylko przygotowywane są głęboko sięgające „reformy": komisja rzeczoznawców w sprawach mniejszości narodowych powziąła dnia 8 b. m. uchwałę, domagającą się zniesienia wszelkich utrudnień przy przyjmowaniu Żydów na wyższe uczelnie, oraz nadania gimnazjom prywatnym z językiem wykładowym hebrajskim lub żydowskim (żargonem), tych samych praw publiczności, co wszystkim innym szkołom średnim. Bardzo znamiennem posunięciem w dziedzinie polityki narodowościowej jest też nagłe udzielenie dymisji prezesowi Urzędu Likwidacyjnego w Poznaniu, prof. Bohdanowi Winiarskiemu, który przy likwidowaniu własności niemieckiej w b. zaborze pruskim wykazywał niezwykłą stanowczość oraz energję i ogromne na tem polu położył zasługi.

Atmosfera w epoce „sanacji" staje się coraz przykrzejsza. Jakże charakterystyczny jest dla chwili obecnej proces, jaki wytoczono niedawno inżynierowi Pauly, który na wiecu w sprawie „liczników" telefonicznych oświadczył, że p. minister Miedziński pieniądze, uzyskane z nadwyżki opłat, ma użyć na agitację wyborczą stronnictwa „Wyzwolenie". Rozprawa sądowa, wyznaczona na dzień 10 b. m., została odroczona z powodu niestawienia się ministra Miedzińskiego, zaś obrońca oskarżonego, mec. Niedzielski zapowiedział przeprowadzenie dowodu prawdy, dodając na zakończenie: „Śmiem twierdzić, że wydawanie pieniędzy skarbowych na cele partyjne nie jest dla p. Miedzińskiego pierwszyzną"...

Ale przeciwko pustce ideowej, obłudzie, atmosferze małoduszności i zgnilizny, budzi się w społeczeństwie polskiem reakcja coraz silniejsza, coraz powszechniejsza. Ludzie „ostrożni", „rozsądni", „liczący się z istniejącemi warunkami" usiłują po dawnemu godzić się ze złem w imię osobistych korzyści i wygód, ale naprzeciw staje pokolenie młode, pełne wiary w swe siły, pokolenie, które od małostkowości i podłości dnia dzisiejszego zwraca się ku służbie wielkiej idei, ku wielkiemu hasłu Wielkiej Polski. Imponujący zjazd młodych Obozu Wielkiej Polski (dzielnicy zachodniej), jaki dn. 5 b. m. odbył się w Poznaniu, jest już wyraźną całkiem zapowiedzią czasów, które nadchodzą. „Tępić będziemy bezwzględnie lenistwo myśli i czynu, ducha kompromisu i tchórzostwa, pogoń za użyciem i karjerą. Stajemy do otwartego boju z masonerją i socjalizmem, jako zbrodniczemi siłami, które są głównem źródłem rozkładu i słabości ducha" — głosi uchwalona na poznańskiem zjeździe młodych „Deklaracja ideowa". A dalej: „Odrzucamy bezwzględnie wygodę leniwych wypoczynków i dostosować pragniemy organizację Narodu do organizacji armji walczącej."

Tworzy się już, mobilizuje się armja, która zwycięży.

J. R.

NAUKA I LITERATURA

LALKA PRUSA

UPŁYWA właśnie w tym roku 15 lat od śmierci Bolesława Prusa (Aleksandra Głowackiego), a czterdzieści lat od czasu, kiedy wielki ten pisarz drukował swoją „Lalkę". Dobrze się też stało, że nasza krytyka literacka potrafiła te daty uczcić godnie gruntownem dziełem Zygmunta Szweykowskiego[1]). Uczyniliśmy wielki krok naprzód w podboju nowych terenów na rzecz historji literatury, uprawiając krytycznie i tak umiejętnie pole Bolesława Prusa.

Ze stanowiska historji literatury jako sztuki, ale jeszcze bardziej ze stanowiska dziejów myśli polskiej, kształtującej naród, uznać trzeba Zygmuntowi Szweykowskiemu za wielką zasługę, że zajął się tak uczciwie i mądrze „Lalką" Prusa. Powieść ta bowiem jest jednem z największych wydarzeń w dziejach myśli naszej końca XIX w. Taką postać przybrała burza, którą głucho bez błyskawic i piorunów (te zostały w cenzurze) przebyło społeczeństwo polskie w głębi duszy wielkiego Prusa. Wyobrazić sobie można tę burzę jako wyładowanie prądów atmosferycznych, gdy górny prąd idealistyczny romantyzmu starł się w umysłowości z dolnym pozytywistycznym i musiał być jakoś pogodzony w sercu poety mocą prawa historycznego, według którego nic w dziejach ducha nie ginie.

Prus, duch tego pokroju, co Mickiewicz i Norwid razem, za nakazem ducha czasu współczesnego przybrał wobec życia postawę naukową—statystyka, obliczającego prawo ewolucji, która odbywa się w społeczeństwie, jak w przyrodzie, deterministycznie. Długo w tej pozycji

[1]) Zygmunt Szweykowski. „Lalka" Bolesława Prusa. Warsz. (1927). Nakład Gebethnera i Wolffa. Str. 363.

mocował się z sobą, kierując teorjami swoje „oko i szkiełko“ przy ścisłem badaniu praw życia. Znakomicie Szweykowski dzieje tej pracy Prusa przedstawił w rozdziale pierwszym, aby następnie w trzech dalszych rozdziałach pokazać w analizie „Lalki“, jak to wszystko go zawiodło i że wielkie cierpienie, bliskie rozpaczy było motywem twórczym tego dzieła. Prus — powiedzieć tak można— jak Wokulski, rzucił się w końcu bezradny pod pociąg. Pod pociąg dziejów... Wszakże słusznie rzekł duch jego— *non omnis moriar!*

Znckomitej pracy Szweykowskiego można zrobić zarzut, że mając przed oczyma dwa elementy zagadnienia: 1) życie społeczeństwa polskiego w końcu XIX w. będące tłem powieści niejako jej bohaterem głównym i uporczywym przedmiotem myśli Prusa i 2) postać duchową samego Prusa — że punkt ciężkości swego studjum zbytnio przeniósł na ten pierwszy element. Robi to wrażenie, że autor chciał dać obraz dramatu życia polskiego zogniskowany w „Lalce“ i do tego celu pomocniczym środkiem stał się dla niego Prus. Podczas gdy za główny przedmiot studjum literackiego powinien był wziąć psychologję samego Prusa. A w tej psychologji jego w y o b r a ż e n i a o rzeczywistości polskiej— mojem zdaniem — należało traktować, jako rzecz wtórną. Lalka bowiem Prusa nie jest dziełem statysty lecz artysty. Ogólnie biorąc, w dziejach myśli polskiej, którą tutaj postaciuje osoba Prusa, nie to jest wielkie, że jego wyobrażenia o stanie Polski były trafne, lecz s t o s u n e k jego duchowy do społeczeństwa, że był jego idei niewolnikiem. „Opętanie“ psychiką społeczną — to jest moment wzniosły literatury Prusa. Poglądy Prusa na stosunki rzeczywiste mogły być błędne (i nieraz były), „Lalka“ jednak będzie po wieczne czasy szczytem literatury tych lat, jako przejaw wielkiego uspołecznienia myśli polskiej, dokonywującego się z miłości. Uczucie społeczne w duszy Prusa szło na tory wielkich tęsknot ku doskonałości i pięknu życia. Słusznie stwierdził Szweykowski, że powieść p. t. „Lalka“: — „jest najwszechstronniejszem odzwieciadleniem duszy autora“, że mamy w niej całego Prusa — „cały przebogaty i różnostronny zapas obserwacyj, cała wiedza, potężne nczucie, które zerwało wszelkie tamy, nakładane mu dotychczas przez Prusa, wreszcie talent mistrzowski znalazł w niej pełny i wstrząsający swą prawdą wyraz“ (str. 88).

I to jest najistotniejsze w badaniu dzieła, co może się odnosić do wyświetlenia owej „prawdy“ Prusa, będącej tajemnicą jego talentu. Bo czy „Lalka“ — jak utrzymuje Szweykowski — stanowi „najpełniejszy wyraz społeczeństwa polskiego drugiej połowy XIX wieku“ — to należałoby przyjąć z pewnem zastrzeżeniem. Mogłaby objektywnie biorąc być obrazem społeczeństwa polskiego, gdyby widnokrąg Prusa nie był warszawski, ograniczony dzielnicowo. Czy i w tem zakresie jest dokumentem prawdy dziejowej, i to wątpliwe. Ale mniejsza o to. Wystarcza pewność, w której nas Szweykowski utwierdził, że Prus był jednym z największych duchów tej epoki, aby w „prawdzie Prusa“ widzieć drogocenną wartość historyczną. Prusa wytworzyło społeczeństwo polskie XIX wieku; on zaś otworzył nam siebie. Wystarczy poznać w „Lalce“ — Prusa, abyśmy wydobyli z niej wszystko, co dzieło sztuki dać może w zakresie wiedzy o społeczeństwie.

Prus dał wyraz w „Lalce“ nie tylko swoim uczuciom patrjotycznym. Jak to trafnie Szweykowski wskazał, powieść ta jest również wszechludzkim dramatem, dającym miarę pesymizmowi Prusa, jako filozofa. Przezwyciężał w tem dziele realistę pozywistycznego romantyk, znajdujący ujście duchowego idealizmu w wiekuistej wierze, że wszystko jest zawodne krom tej drogi: Bóg, ziemia i człowiek prosty.

Dzieło Szweykowskiego jest owocem bardzo sumiennej pracy. Dokonane z wielką powagą i z talentem pisarskim, posunęło naprzód pracę nad pomnikiem, które społeczeństwo winno Prusowi i swojej świadomości dziejowej.

Z. W.

„ZACZAROWANY DOM“
(POEZJE TADEUSZA NEWLINA-WAGNERA)

Nie z natchnienia Tego „co lubi lot olbrzymich ptaków“, ani pod wezwaniem Chystusa—Mocarza z Kaplicy Sykstyńskiej powstał ten nieduży zbiorek śpiewnych, szlachetnych wierszy, udręczonych zmorą życia i rozżalonych tesknotą do śmierci. Orędownikiem ich jest legendarny „Chrystus słabych“, co w przystąpie żałości rwie „nadjeziorny tatarak“ i gryzie go, „by stłumić swój żal“. Waga tej poezji jest raczej uczuciowa niż myślowa, a mądrość jej jest „mądrością marzenia“. Z goryczą wyrzeka się dusza oczekiwania „wiecznych gwiazd“, „otwarte trzeźwo oczy chciwie garną zmierzch swój“. Najsłodsza dla serca jest godzina

gdy na dnie
Pod światła leży dzwonem i zewsząd się chylą
Tęczowo-złote blaski, a dołem się kładnie
Błękitny zmrok... O życie! O serce! O chwilo!

Bez wahania podpisałby się pod temi wierszami Albert Samain, tak bardzo są one pokrewne jego elegijnej twórczości. Zaś „Mądrość marzenia“ zaczyna się jak *„The last Rose of Summer“*:

Ostatnie róże lata swe rumieńce tracą
Pod welonem mgieł chłodnych, co od gór się przędą,
A przecież ile razy mej tesknoty pracą
Te róże jeszcze płonąć i pachnieć mi będą..!.

Nie jest to naśladownictwo, lecz jednaki rytm odczuwań z niektórymi bliźnimi poetami obcymi, no i gdzie niegdzie swoimi. W pustkowiu osamotnienia stoi ten „Zaczarowany Dom“. Zawarta w nim poezja poczęła się z tą samą nieodzowną koniecznością, z jaką poczyna się serce w piersi człowieka, wyrosła z duszy prosto i szczerze, jak wyrasta kwiat z łona ziemi. Z tumanów błazeństwa i ohydy, co—jakby na urągowisko wszelkiej piękności zaległy niedawne krwawe pola, wyjrzała znowu twarz jedynie prawdziwego człowieka — t r a g i c z n e g o c z ł o w i e k a. Niema w tej poezji „regjonalizmów“ ani „urbanizmów“, niema samolotu, radja, dynamo-maszyny, ani też żadnego innego wynalazku technicznego. Słusznie pozostawiono technice, co do niej należy. Zaś erotyzm tylko wątłą, marzeniową latoroślą oplata kolumnadę „Zaczarowanego Domu“.

Nie ma ta poezja ceny, więc nie będzie sprzedawana na straganie tej lub owej kliki czy grupy. Nie zareklamuje jej żaden wrzaskliwy afisz, nie pochwali żaden przekupień ani komiwojażer literacki. Chlubą jej jest to, że nie zniży się nigdy do „wieczoru autorskiego“ i nie stanic się tematem odczytu o „własnej twórczości“. Niby kadzidło spali się na ołtarzu „Wiecznego Piękna“, a sprawiedliwość odda jej—lub nie odda—przyszłość, „korrektorka wieczna“.

STANISŁAW WYRZYKOWSKI

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Istniejące we Lwowie od niespełna dwu lat „Akademickie Koło literacko - artystyczne“ przedsięwzięło urządzić zawody między przedstawicielami młodej poezji Krakowa i Lwowa.

Na zaproszenie zarządu Koła, krakowski „Litart“ wydelegował do udziału w zawodach trzech członków: pp. Jerzego Brauna, Janusza Stępowskiego i Witolda Zechentera, „Zwrotnica“ zaś p. Jalu Kurka. Ze Lwowa stanęli do zawodów czterej członkowie Koła: Jadwiga Gamska, Janina Królińska, Włodzimierz Lewik i Edward Józef Teichman, nadto z poza Koła pp. Kazimierz Barański i Tadeusz Nittman.

Nad „Turniejem" objął protektorat profesor uniw. lwowskiego, znakomity znawca literatury współczesnej dr. Juljan Kleiner, sąd zaś turniejowy, który miał orzec o pierszeństwie zawodników i miast, stanowili członkowie Zaw. Związku Literatów pp.: Kazimierz Brończyk, prof. dr. Władysław Kozicki, prof. dr. Eugenjusz Kucharski i Stanisław Wasylewski.

Sam „Turniej" odbył się w przepełnionej publicznością sali lwowskiego Kasyna i Koła Liter.-Arstyst. Witając gości oraz zgromadzoną publiczność, zagaił zebranie prezes Koła p. Henryk Batowski, następnie zaś poszczególni autorzy, najpierw krakowscy, potem lwowscy, w porządku alfabetycznym recytowali swoje utwory. Jedynie wiersze obu autorek lwowskich pp. Gamskiej i Królińskiej deklamował znany recytator, członek Koła p. Leopold Kielanowski.

Jury turniejowe po ukończeniu recytacyj wydało orzeczenie o pierwszeństwie drużyny poetów krakowskich, przy wyróżnieniach zaś osobistych pisrwsze miejsce przyznało p. J. Stępowskiemu z Krakowa, drugie p. Braunowi z Krakowa, trzecie p. J. Gamskiej ze Lwowa, czwarte zaś p. E. J. Teichmanowi ze Lwowa. „Turniej" wywołał znaczne zainteresowanie tak ze strony prasy jak i szerokich sfer publiczności lwowskiej i krakowskiej.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Na Rektora Uniwersytetu Warszawskiego na rok 1927/28 wybrany został profesor zwyczajny homiletyki ks. prałat Antoni Szlagowski. Kontrkandydatem był minister pierwszego rządu po przewrocie majowym, czołowy kandydat listy „sanacyjnej" (Nr. 25) przy wyborach do Rady Miejskiej w Warszawie, prof. Wacław Makowski. Wybór na Rektora ks. prof. Szlagowskiego jest i z tego powodu faktem znamiennym, że po raz pierwszy od wskrzeszenia Uniwersytetu Warszawskiego w r. 1915, berło rektorskie przypadło w udziale przedstawicielowi wydziału teologicznego, co pewne sfery uważały dotychczas za rzecz „niedopuszczalną".

*

W Innsbrucku zmarł ś. p. ks. Władysław Szczepański T. J., profesor Pisma Św. Nowego Zakonu na wydziale teologicznym Uniwersytetu Warszawskiego. Ś.p. ks. Szczepański głośny był przedewszystkiem, jako palestynolog oraz autor nowego przekładu Pisma Św. Nowego Testamentu na język polski. Aczkolwiek przekład ks. Szczepańskiego dostojnością i pięknem nie potrafił dorównać przewspaniałej polszczyźnie przekładu Wujka, to jednakże jako praca sumienna i gruntowna, był niewątpliwą i rzetelną zasługą tłumacza. Ponadto jako autor książki „Egea i Hatti" zachęcał ks. Szczepański do zajęcia się historją niemal zupełnie nieznanej, a z wielu względów nadzwyczaj interesującej, pradawnej cywilizacji egejskiej.

*

W dn. 12 czerwca odbyło się w Krakowie doroczne plenarne posiedzenie Akademji Umiejętności w obecności ministra oświaty pod przewodnictwem prezesa Jana Rozwadowskiego. Ze sprawozdania generalnego sekretarza prof. Kutrzeby dowiadujemy się, że Akademja stwierdza coraz silniejszy przyrost młodszych pracowników. Rząd ma zatwierdzić nowy statut Akad., powiększający liczbę członków do 300. Budżet Ak. w r. ub. podniósł się w dochodach do 360 tys. zł. przy 50.000 subwencji rządowej. Potrzeby roczne sięgają 600.000 zł. Wzrosła również dotacja rządu na stację rzymską Akad. Stacja paryska będzie zreformowana. Akad. ma własny dom w Paryżu. Druk katalogu zbiorów Mickiewiczowskich (Lewak) wkrótce się zacznie. Wojnc zdewaluowała z funduszów Ak. około 10 milj. koron austr. Ale przybyły nowe fundusze.

Po sprawozdaniu wygłosił odczyt prof. T. Zielińkl z Warszawy na temat „Rozwój moralny od Homera do czasów Chrystusa". Akademja przyznała nagrodę z funduszu Jerzmanowskich siostrze Salomei ze zgrom. sióstr Felicjanek w Krakowie. Za pracę historyczną otrzymał nagrodę prof. Kutrzeba za dzieło „Historja źródeł dawnego prawa polskiego". Za dzieło malarskie nagrodzony został Wyczółkowski i Wł. Bielecki za drzeworyty kolorowe.

Członkami czynnymi mianowani: Adam Krzyżanowski (ekon.). Ant. Prohaska (hist.), Kaz. Twardowski (fil.), Stan. Zakrzewski (hist.), W. Porzeziński (jęz.), J. Gw. Pawlikowski (lit.), Wł. Kotwicz (orjen.), J. Kleiner (lit.), T, Banaszkiewicz (astr.), I. Birkenmajer (mat.), J. Talko-Hryncewicz (antr.), St. Kreutz (min.), W. Świętosławski (chemja). Członkami koresp. między innymi: Eug. Kucharski (lit.), Stan, Grabski (ekon.), F. Loth (anat.).

*

Dnia 5 i 6 b. m. obradował w Warszawie drugi Kongres słowiańskich etnografów i geografów. Zainteresowanie wzbudziły zwłaszcza obrady podsekcji antropologji (referat prof. Pawłowa o znalezieniu czaszek ludzkich z okresu paleolitu na wybrzeżach Wołgi oraz sprawozdanie p. Stołyhwowej o odkryciach, dokonanych na cmentarzysku z I wieku po Chr. w Oksywiu), a także obrady podsekcji etnografji (referaty prof. Poniatowskiego, pp. Wakarelskiego, Pospiszila, Gołąbka i in.).

Zjazd połączony jest ze zwiedzeniem Polski przez jego uczestników (Katowice, Poznań, Gdynia, Warszawa, Wilno, Lwów, Borysław, Zakopane, Kraków). Zakończenie obrad Kongresu nastąpi w Krakowie.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

B. prezes Rady Ministrów Władysław Grabski ogłosił „Dwa lata pracy u podstaw państwowości naszej (1924—1925)" (Warszawa 1927, nakładem księgarni F. Hoesicka, str. 370). Książka ta dzieli się na dwie części: pierwszą, obszerniejszą, zawierającą „wspomnienia historyczne" z lat, gdy Władysław Grabski stał na czele rządu Rzplitej, oraz drugą, będącą uzupełnieniem, dokładniejszem sformułowaniem poglądów autora na poszczególne gospodarcze i polityczne zagadnienie Polski współczesnej.

Książkę tą, rzucającą wiele światła na rozwój wypadków politycznych u nas w ciągu lat ostatnich, omówimy wkrótce obszerniej.

*

Zakład narodowy im. Ossolińskich we Lwowie rozpoczął wydawnictwo „Ekonomji społecznej" prof. Stanisława Grabskiego. Całość składać się ma z dziesięciu książek (przeciętnie po 6 arkuszy druku), z których dotychczas ukazały się trzy pierwsze: I. Socjologiczne podstawy ekonomji, II. Rozwój nauki ekonomji społecznej i III. Zasadnicze pojęcia społeczno-gospodarcze.

O pracy prof. Grabskiego zamieścimy, po jej wydaniu w całości, obszerne sprawozdanie. Obecnie sygnalizujemy tylko pojawienie się dzieła, które jest ważnem wydarzeniem w dziejach nauki gospodarstwa społecznego.

*

Ostatnia książka prof. M. Zdziechowskiego, wydana pod tytułem „Walka o duszę młodzieży" (Wilno, 1927, str. 87) a będąca zbiorem przemówień rektorskich (od października 1925 do marca 1927), jest doskonałym dowodem, jak człowiek najlepszej woli, a pozbawiony krytycyzmu, staje się igraszką w ręku ludzi bez skrupułu. Prof. Z., jak wiadomo niedawny kandydat na Prezydenta Państwa, był niewątpliwie jednym z inspiratorów majowego zamachu (świadczy o tem n. p. mowa p. t. „Czyn legjonów" z marca 1926 r.) Dziś zdaje się opuścił swe niedawne stanowisko, gdyż przemówienie ostatnie, na Akademji ku czci obecnego Prezesa Ministrów (19.III 1927), zatytułowane nadzwyczaj charakterystycznie „Na bezdrożach", jest właściwie hymnem na cześć... generałów: Szeptyckiego, Rozwadowskiego, Hallerów, Zagórskiego i Sikorskiego. Za to do czczonego naówczas solenizanta odnoszą się ostatnie słowa, wypowiedziane przez prof. Z. „Opinja najlepszych stwarza ten fundament moralny, bez którego żadna władza się nie ostoi".

*

Dużą poczytnością cieszy się obecnie powieść Stanisława Szpotańskiego p.t. „Przysięga" (Wyd. Gebethner i Wolff). Akcja tej niezwykle interesującej powieści toczy się w Paryżu w czasie wojny. Autor, znany chlubnie publicysta, dzielny pracownik w służbie dyplomatycznej, dał się poznać przed wojną ze studjów robionych w Paryżu nad Mickiewiczem z okresu mesjanistycznego. Po ustąpieniu z placówki paryskiej, przed paru laty przeniósł się do kraju i tu talent swój ujawnił na polu powieściopisarskiem. Po niedawno wydanej powieści „Ku słońcu", która ma już dwa wydania, nastąpiła ta nowa. W „Przysiędze" przesuwa się przed czytelnikiem kilkanaście postaci, brawurowo, pewną ręką szkicowanych wystudjowanych. Problemat przysięgi, jako bezwzględnego zobowiązania moralnego, ujęty prosto i oryginalnie, rzuca na całą książkę oświetlenie górne, godne czciciela zasad etycznych. Bohaterka powieści Helena wejdzie do galerji typów kobiet polskich jako jedna z piękniejszych. Doskonale wystudjowany jest typ „przezwy" Astorta, żydka dziennikarza. Powieści tej można powinszować autorowi.

U SŁOWIAN

Wyjechali do Czechosłowacji dziennikarze polscy rewizytować swych tamtejszych kolegów za odwiedziny w październiku ub. roku. Do faktu pobytu w Czechosłowacji oficjalnego przedstawicielstwa prasy polskiej przywiazuje się obustronnie dużą doniosłość, prasa czeska i słowacka podkreśla nader silnie konieczność zbliżenia obu narodów. Tu warto zwrócić uwagę na głosy obu półurzędowych dzienników praskich „*Ceskoslowenská Republika*" i „*Prager Presse*" w dniu przyjazdu wycieczki na granicę Czechosłowacji (4 maja) „*Czeskoslovenská Republika*" pisze m. in., że,... niema przyczyny, dla których Polak i Czechosłowak nie mieliby czuć się braćmi, niechcącymi szkodzićnikomuł ale umiejącymi sobie wzajemnie pomóc, gdyby im kto chcia szkodę wyrządzić..." i kończy: „...naród polski ma na przestrzeni od Tatr po Szumawę dobrego przyjaciela" — *Prager Presse* podkreśla: „...wszak prasa ma możność pracy nad dobrem zbliżeniem

obu państw i posiada więcej niż jakikolwiek inny czynnik, możliwości i danych ku temu, by się domagać wzajemnego porozumienia i by usuwać, jakiekolwiekby jeszcze były niesnaski".

Można wykazać, iż w Czechosłowacji zwraca się obecnie szczególną uwagę na zbliżenie kulturalne z Polską. W propagowaniu kultury polskiej w Czechach wyręczają nas niejednokrotnie sami Czesi. Gdy zaś znajdzie się okazja ku temu manifestacje polskie przybierają wspaniały charakter. Tu należy zanotować cztery wielkie koncerty, z jakimi z pocz. maja wystąpili w Pradze: K. Szymanowski, L. Różycki, Ł. Kamieński, Cz. Marek G. Fitelberg, B. Huberman, I. Dubiska i St. Szymanowska.

*

Z okazji wspaniałego festivalu muzyki polskiej, jaki odbył się w maju b. r. w Pradze wydała tamtejsza „Macierz muzyczna klubu artystycznego" (*Hudebni matice Umeleckè Besedy w Praze*) piękną publikację p. t. „*Polskà hudba*" (muzyka polska), pod redakcją Mateusza Glińskiego. Są tam artykuły: Związki czesko-polskie w muzyce (Zd. Nejedly) — O muzyce polskiej (I. Paderewski) — Polski styl muzyczny (H. Opieński) — Muzyka Chopina (Z. Jachimecki) — St. Moniuszko dawniej a teraz (St. Niewiadomski) Muzyka polska w XIX w. (Z. Jachimecki) — Współczesna muzyka polska (M. Gliński) — O muzyce górali tatrzańskich (A. Chybiński) — Polska wiedza muzyczna (St. Łobaczewska) — Z dziejów prasy muzycznej w Warszawie (L. Bienental). Dzieło Zzdobione jest portretami dziewięciu wybitnych kompozytorów polskich.

*

Nader ruchliwe praskie towarzystwo wydawnicze „*Orbis*" wydaje obecnie trzy tygodniki dla zagranicy, poświęcone zagadnieniom środkowo-europejskim: po francusku „*L'Europe Centrale*", po angielsku „*The Central European Observer*" oraz ostatnio i po rosyjsku „*Centralnaja Jewropa*". Leży przed nami pierwszy numer tego ostatniego z datą 26 maja. Na 1-ej stronie redakcja zapowiada, że pismo zajmować się będzie Europą środk. „w ścisłem tego słowa znaczeniu (Czechosłowacja, Austrja Węgry, Jugosławja, Bułgarja i Rumunja)". Więc według redakcji pisma np. Bułgarja jest bardziej środkowo-europejskim krajem niż Polska? Bo tak „*L'Europe Centrale*" jak i „*Observer*" sprawami polskiemi zajmują się szczegóło. Pozatem 1-y numer tygodnika daje interesujące przeglądy polityczne i kulturalne, w tych ostatnich zaledwie parę polonik.

*

Do dziejów odrodzenia narodowego Słowaków odnosi się cenne dzieło Karola Golána „*Revolucnè pokolenie* (*1848—1849*)". Myjawa, 1927. Jest to obraz akcji powstańczej Słowaków przeciwko rewolucji madziarskiej Kossutha. Postacie przywódców-budzicieli narodowych: Hurbana, Hodży i Stura przedstawione są nader zajmująco jak i cały obraz zbierania ochotników i walk zrazu pomyślnych, później, z powodu zdrady rządu wiedeńskiego zakończonych niepowodzeniem. Książka ta posiada wartość dokumentu narodowego stwierdzającego, że Słowacy nigdy nie chcieli należeć do Węgier, wbrew obecnym twierdzeniom madziarskim.

*

Ukazała się nowa godna uwagi publikacja francuska o Jugosławji (w Paryżu, Edit, Bossard). Autorem jej jest Emile Haumant. Dzieło to noszące tytuł „*La Yougoslavie*", zamieszcza przeważnie rozważania historyczne jak: Zesłowiańszczenie Dalmacji—Francuzi w Raguzie—Legenda kosowska czy znów: Jutrzenka wolności — Armja Czarnego Jerzego (Karodjorda) — U nas znajomość dziejów naszych południowych pobratymców jest minimalna, popularna publikacja tego rodzaju byłaby bardzo pożądana. Podobno nosi się z zamiarem wydania takiej pracy znany nasz słowianofil Jan Magiera.

*

Ostatnio, w dniu 1 maja ukazał się piękny numer (9) zagrzebskiego dwutygodnika „Vijenac" (Wieniec), poświęcony przedewszystkiem malarstwu jugosławskiemu, oraz najmłodszej poezji. Mamy więc tam w pięknych reprodukcjach szereg obrazów, niekiedy niezwykle interesujących malarzy. Csikos-Sesla, Tisova, Vanki, Raćkiego, Concića, Auere, Kovacevića, Bużana, Senoa'y, Rasicy, Kirina, Djurića, Uzelaca, Trepse'a, Sumanovića, Milunovića i Caty Dujsin. Nieznane u nas te nazwiska dziełami swemi mówią o niezmiernie bujnem a różnorodnem rozwoju współczesnego malarstwa Jugosławji. „Najmłodsza liryka" (Hasan Hikić, Sv. Maksimović, Vl. Marinko, Dj. Gavella, Br. Perović, Vl. Vlaisavljević, R. I. Sararević, I. Dobarzić i S. A. Burina) to wiersze przeważnie refleksyjne, dobrze świadczące o talencie autorów.

*

Kwietniowy (czwarty) numer miesięcznika paryskiego „*Le Monde Slave*" przynosi szereg nader interesujących artykułów: Groźba wojny w Albanji (A. Mousset) — Ku czci Jovanaa Cvijica (cykl odczytów: A. Gauvain — E. de Martonne — M. Spalajković — Y. Chatalgneau) — Rumunja w roku 1926 (A. Tibal) — Moje wspomnienia, część IV (A. Wasilew) — Rosja a Turcja w sierpniu 1914 (Mirkin-Gecewicz) — Prace polskie na polu historji prawa słowiańskiego (S. M. Jedlicki) — Ostatni wykaz ludności w Z. S. S. R. (A. Pierre).

*

Poświęcone sprawom słowiańskim czasopismo rzymski, miesięcznik „*L'Europa Orientale*" wychodzi już 7-y rok. Pierwszy podwójny, n-r bieżącego rocznika przynosi parę interesujących artykułów: Nikola Pasić (O. Randi) — Polska a wojna światowa (E. Capasso) — Etnografja Maksdonji (E. Damiani) — Instytut Bałkański Wolnej Wszechnicy w Sofji (St. Najdenowicz) Studjum o Polsce w wojnie światowej zapowiada się nader interesująco, autor jednak pod względem wyzyskania źródeł pozostaje daleko w tyle poza drukowanem już od szeregu miesięcy w praskim „Przeglądzie Słowiańskim" studjum Emila Janouska na ten sam temat.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Wśród angielskich publikacyj historjograficznych ostatniego czasu szczególnie zaciekawia zakrojona na szeroką miarę „Historja Anglji" Hilarego Belloca. Całość dzieła zamierzył autor na pięć tomów; przed kilku tygodniami ukazał się „Historji" tom drugi, obejmujący średniowiecze angielskie po rok 1348. Belloc, pochodzący z rodziny francuskiej, lecz wychowany i naturalizowany w Anglji, historyk z profesji, z przekonań religijnych katolik, zasłynął artyzmem angielszczyzny i bezspornie jest uważany za jednego z najznakomitszych w nowej literaturze angielskiej stylistów. Będąc z powołania nietylko uczonym, lecz także beletrystą i poetą, szerokim kołom publiczności znany jest głównie ze swych powieści, feljetonów i poezyj (m. in. napisał wiersz o Matce Boskiej Częstochowskiej). Zawsze starał się wywalczyć piórem miejsce dla ideałów łacińskich i katolickich w życiu Anglji i niejednokrotnie w drobniejszych pracach polemizował z uświęconemi poglądami oficjalnej szkoły historyków angielskich, datującej prawdziwą historję Anglji dopiero od czasów reformacji, zapoznającej wartość cywilizacji rzymskiej i średniowieczno-katolickiej, i apoteozującej rasę germańską. Anglicy, jak wiadomo, nie są bynajmniej czystymi Germanami, a spór o znaczenie pierwiastka germańskiego w dziejach Anglji roznamiętnia dziś historyków angielskich. Klasycznym wyrazem filogermanizmu była najpopularniejsza, po dziś dzień kształtująca poglądy przeciętnego Anglika, historja Greena.

Filogermanizm ten nie opierał się wcale na niewzruszonych podstawach naukowych, lecz utrwalały go sympatje polityczne dla Niemiec i duch protestancki społeczeństwa. Najmniej ściśli w swoich wywodach byli ci, co — jak Carlyle — najwięcej zrobili dla rozpowszechnienia wiary w wyższość Niemiec: ten rodzaj filogermanizmu był już czysto irracjonalny i niemal przechodzący w zabobon. Po wojnie ujawniła się naturalna skłonność do rewizji dawniejszych poglądów, lecz oficjalna szkoła historyków nie miała do ostatnich czasów rywali na polu naukowem. G. K. Chesterton psychozie filogermańskiej przeciwstawił swoją świetną „*Short History of England*", lecz dziełko to, przy całej trafności i przenikliwości poglądów autora, miało charakter ściśle publicystyczny. Belloc, jako historyk z zawodu, postanowił przenieść walkę na grunt czysto naukowy, i napisać historję Anglji z wykorzystaniem całego aparatu swojej erudycji. Dzieło jego przedstawia się jako metodyczny wykład dziejów instytucyj polityczno-społecznych tudzież historji politycznej. Szermierzom ideałów łacińsko-katolickich w nauce niewątpliwie da ono do rąk cenny oręż, jakiego potrzebowali oddawna.

*

W czasie pobytu G. K. Chestertona w Polsce wyszła z druku w Anglji jego powieść p. t. „Nowy Don Kichot", fantastyczna, jak wszystkie utwory beletrystyczne tego pisarza. Akcja opiera się na pomyśle, że przebrani w stroje średniowieczne uczestnicy przedstawienia teatralnego ni stąd ni zowąd nagle stali się również z psychiki ludźmi średniowiecza, i wmieszali się jako przywódcy do zatargu i walki, wynikłych na tle ekonomicznem. Znowuż występuje w tej powieści autor, jako wróg kapitalizmu zarówno jak i socjalizmu, a zwolennik średniowiecznego ustroju cechowego. Jak zawsze, w żywy tok akcji wplata dyskusje ideologiczniczne.

Od dłuższego czasu pierwsza to powieść Chestertona, którego twórczość w ostatnich latach wyrażała się głównie w publicystyce, w pismach filozoficzno - religijnych i poezji. Przedostatnią jego pracą była rzecz p. t. „Kościół katolicki, a nawrócenie". Obecnie po miesięcznym przeszło pobycie w Polsce, znakomity pisarz zaczął drukować artykuły o naszem kraju w „*G. K's Weekly*", i w organach myśli katolickiej, jak „*The University*".

*

Autor „Historji Czarnoksięstwa", Montague Summers, wydał teraz, jako uzupełnienie swej poprzedniej pracy, „Geografję Czarnoksięstwa" („*The Geography of Witchcraft*"), prezentującą

materjał dowodowy, na którym konkluzje „Historji“ się oparły. Uwagę skupia na Anglji, Szkocji, Francji, Niemczech, Włoszech, Hiszpanji i Nowej Anglji (*New England*).

*

Czwarty tom monografji D. A. Wilsona o Carlyle'u doprowadza życiorys aż do chwili, gdy Carlyle podjął pracę nad swojem,największem rozmiarami, dziełem o Fryderyku Wielkim, i między innemi podaje informacje o stosunkach Carlyle'a z Chopinem.

*

Henri Massis, autor głębokich studjow literackich („*Jugements*“, „*Le realisme de Pascal*“ „*Reflexions sur l'art du roman*“ i t. p.), ogłosił świeżo książkę p. t. „*Défense de l'Occident*“, w której zajął się ważnemi zagadnieniami myśli współczesnej. związanemi z kryzysem cywilizacji zachodniej oraz niebezpieczeństwem azjatyzmu. Massis stając w obronie cywilizacji zachodniej, której zagraża fałszywa mądrość wschodu, wykazuje że niebezpieczeństwo tkwi głównie w herezjach myśli zachodniej we wszelkiego rodzaju azjatyzmach germańskiej i słowiańskiej metafizyki. „To przeciw czemu występuję — powiada Massis — są to stare błędy myśli zachodniej, które przybierając pozory nowości, młodości, celem odzyskania wpływu na umysły i dusze, ukazują się w przebraniu przypadkowego orjentalizmu“.

Książkę Massis'a, która wywołała ożywioną dyskusję w sferach inteligencji Zachodu, omówimy szerzej w naszem piśmie.

*

Na „*Carnets Littéraires*“, publikowane przez tego samego wydawcę, składają się utwory pisarzy francuskich i zagranicznych. W kolekcji tej ma ukazać się ciekawe studjum znanego poety Jean Royere *o „Mallarmée*“, do którego długi, bo 40 stronic liczący wstęp pisze Paul Valery.

*

Augusto Turati, sekretarz generalny stronnictwa faszystowskiego, wydał świeżo książkę p. t. „*Una rivoluzione e un Capo*“, do której przedmowę napisał B. Mussolini.

NOWE KSIĄŻKI

Nakładem Gebethnera i Wolffa wyszły świeżo cztery dzieła powieściowe:

Ferdynand Goetel. Humoreski.

Eustachy Czekalski. Proste drogi. Powieść.

Zdzisław Kleszczyński. Romans na wsi. Powieść.

Zygmunt Kisielewski. Poranek. Powieść.

Bolesław Żarnowiecki. Rok 1974. Powieść z czasów przyszłych. Toruń 1927. Nakład Pomorskiej drukarni rolniczej.

Mieczysław Jarosławski. Tajemniczy chemik. Powieść Bibl. Dzieł Wybor.

Robert Hichens. Gazele. Powieść. Tamże.

Jan Szczepański. Kultura klasyczna w zarysie. Podręcznik dla użytku szkół średnich. Lwów 1927. Zakł. Nar. im. Ossolińskich.

Stefan Papée, Misterja balladowe Emila Zegadłowicza. Poznań 1927. Str. 48.

Hanna Mortkowiczówna. Podanie o Wandzie. Dzieje wątku literackiego. Warsz. 1927. Tow. Wydawn. Str. 141.

NA MARGINESIE

„Głos Prawdy“, organ sfer, dających oparcie rządowi, przedsięwziął rejestrację i organizację „radykałów polskich“. W odezwie pisze obrazowo: „Rozpasanie endecko-witosowe doprowadziło kraj nad otchłań klęsk i brudu. Przyszli radykalni polacy z wiarą w możliwość odrodzenia i pod wodzą swego Naczelnika sytuację wyratowali“. Dalszy ciąg deklaracji radykałów znajdujemy w uchwałach Stronnictwa Chłopskiego: „Rozkwit i dobrobyt zapewni Europie dopiero stworzenie Stanów Zjednoczonych Europy. Chłopów polskich powinna łączyć solidarność klasowa z chłopami ukraińskimi i białoruskimi. Kongres (Str. Chł.) domaga się zupełnej wolności religijnej w Polsce, oraz zniesieniu konkordatu, wprowadzenia jednolitej, bezpłatnej, świeckiej t. j. wolnej od księżej kurateli szkoły... Pierwszym postulatem stronnictwa jest, aby można było obszarników przymusowo wywłaszczać z ziemi bez odszkodowania. Prezydentowi Rzplitej wyraża kongres hołd i cześć. Kongres składa hołd marszałkowi Piłsudskiemu i wyraża wdzięczność za to, że po przewrocie majowym przeprowadził sanację“.

*

Z powodu pewnej sprawy, która wzięła niekorzystny obrót dla przedstawiciela radykałów w rządzie, p. Miedzińskiego, „Głos Prawdy“ rzuca nowy pomysł sanacyjny (Nr. 159): „Czy z uwagi na groźne niebezpieczeństwo wymierzania sprawiedliwości w państwie za pomocą tak nadwyrężonego instrumentu sędziowskiego, z jakim mamy do czynienia, nie jest koniecznością zawiesić na czas pewien nietykalność sędziów, przeprowadzić niezbędne w ich szeregach zmiany i przesunięcia, poczem dopiero powrócić do stanu normalnego“.

I kończy artykuł: „... będzie siedział w kozie (przeciwnik p. Miedzińskiego). Nic nie pomoże... Będzie siedział“. Ten kułak wyciągnięty ku sądowi—trzeba dodać—należy do red. S., o którym niewiadomo, dlaczego nie siedzi.

*

Skończyły się międzynarodowe konkursy hippiczne w Warszawie, Urządzono je nie na terenie Sielc, czy Siekierek, lecz w Łazienkach.

W prasie zasmucono się, że publiczność podeptała trawniki i połamała krzewy. W istocie smutny był widok tego zniszczenia, ale raczej odetchnąć należy, ze skończyło się smutniejsze o wiele widowisko. Stary park jest cennością, jakiej zdobyć nie można żadną sztuką i za żadne pieniądze. Ani lasek Buloński w Paryżu, ani Hyde Park czy Kensington Garden, w Londynie nie mają tak pięknych starych drzew, jak Łazienki. Ścinać je to w zasadzie to samo, co zrównać z ziemią pałac, ta istnieje tylko różnica, że pałac można odbudować taki sam cegła w cegłę, a stare drzewo raz ścięte, stracone jest niepowrotnie. Że gospodarze, zamiast zazdrośnie strzec skarbu narodowego, zdecydowali się go uszkodzić, to jest symbol czasu — bardzo niepokojący i bolesny.

Jeśli wśród cudzoziemców, przyglądających się zawodom, byli ludzie kulturalni, to co sobie musieli pomyśleć o narodzie, który wszedł w posiadanie dóbr dziedzicznych, a tak niemi gospodaruje? Kawalerja polska zrobiła swoje: pobiła współzawodników, zdobyła Puhar Narodów. Lecz jak sobie wyobrazić psychikę organizatorów konkursu? Jak demoralizująco zawody oddziaływać musiały na publiczność! Poprawić mogą takie konkursy rasę koni, lecz zniepráwić muszą niezawodnie rasę ludzi.

*

W ostatnim numerze Wiadomości Literackich p, Antoni Słonimski autor „Wieży Babel“, rozgoryczony widocznie klapą, która zrobiła jego sztuka w Teatrze Polskim, pomieścił zamiast recenzyj teatralnych z dwu sztuk Flersa i Caillaveta, wznowionych świeżo na obu naszych pryncypalnych scenach dramatycznych, zaprawną jadem złośliwości „Kronikę tygodniową“ w której rzucił się niewiadomo z jakiego powodu na Bogu ducha winnego, zasłużonego wielce i bardzo szanownego pisarza Mirjama.

P. Słonimski szydzi z żeńskiego pseudonimu Zenona Przesmyckiego wyśmiewa się z jego cylindra i twierdzi, że o Mirjamie wolno mu wyrażać się bez szacunku, ponieważ pisarz ten mało i rzadko pisze. Na takiej samej podstawie pan Słonimski mógłby się wyśmiewać nawet... z długich włosów Mickiewicza i wymyślać od starych, zniedołężniałych pierników twórcy „Pana Tadeusza“, ponieważ ten, jak wiadomo, przez kikanaście ostatnich lat swojego żywota nie zrobił nic dla literatury.

Napaść pana Słonimskiego tem bardziej jest niesmaczna, że jeśli jest cokolwiek wartościowego w twórczości autora „Wieży Babel“, to Słonimski zawdzięcza to przedewszystkiem Mirjamowi. Gdyby nie wspaniały przekład „Pijanego Statku“, „Skoku z trampoliny“, szeregu poematów Baudelaire'a—toby pan Słonimski nie miał zielonego pojęcia o tem, jak transponować zdobycze wersyfikacyjne Francuzów na język polski. A przecież wirtuozerja w tym kierunku jest jedyną zaletą poezji p. Słonimskiego.

*

W „Wiadomościach Literackich“ czytaliśmy niedawno całokolumnowy wywiad p. Ordyńskiego z H. L. Menckenem. „Wiadomości Literackie“ zasypują swoich czytelników wiadomościami z zagranicy, ale nie podają rzeczy najciekawszych. P. Ordyński z wielkiem uszanowaniem zwraca się do Menckena, jako „autochtona“ ziemi amerykańskiej i darzy go „kredytem niemal nieograniczonym“.

Nawet zamieszczona przez „Wiadomości“ karykatura Menckena nasuwa wątpliwości co do tego autochtonizmu, lecz p. Ordyński rozmawiał przypuszczalnie z samym Menckenem i najmniejszych wątpliwości nie mógł mieć co do tego, że „autochton“ jest Żydem stuprocentowym. Dodajmy dla informacji, Żydem z Niemiec, i publicystą, który spopularyzował w Stanach Zjednoczonych frazes, że Polska i Czechosłowacja, to „*temporary republics*“, republiki sezonowe, oczywiście sezonowe nie w tem znaczeniu, żeby wkrótce miały się stać monarchjami, lecz w tem, że wkrótce znikną z mapy Europy.

Na społeczeństwo amerykańskie nie wywiera Mencken wpływu bezpośredniego, gdyż gwałtowna jego niechęć do chrześcijaństwa i sympatje do bolszewizmu rażą purytanów skrajnością, lecz trudno chyba go rekomendować go z tego tytułu.

BANK CUKROWNICTWA W POZNANIU

SPÓŁKA AKCYJNA

W dniu 4 maja r. b. odbyło się w Poznaniu Walne Zgromadzenie Akcjonarjuszów Banku Cukrownictwa, Spółki Akcyjnej w Poznaniu.

Jak wynika ze Sprawozdania Zarządu z działalności w r. 1926-ym — Bank ten w dalszym ciągu pomyślnie się rozwija i udoskonala organizację sprzedaży cukru na rynku wewnętrznym przez rozszerzenie stosunków handlowych z instytucjami spółdzielczemi i komunalnemi, jak również przez otwieranie własnych składnic w ośrodkach większych skupień ludności. Tą drogą Bank osiąga stałe i racjonalne zaopatrywanie cukrem całego obszaru Rzeczypospolitej, a przez udogodnienia handlowe i kredytowe—uprzystępnia nabycie cukru jaknajszerszym masom konsumentów, czego wynikiem jest wzrost konsumpcji do ca. 10 kg. na głowę ludności t. j. do cyfry konsumpcji przedwojennej. W okresie sprawozdawczym Bank sprzedał na rynku krajowym ogółem 222.721 ton za ogólną sumę zł. 173.667,90

W ekpansji eksportu cukru Bank uzyskał w r. 1926 nowe rynki zbytu na Dalekim Wschodzie, w Grecji i Afryce, oraz rozszerzył zasilanie cukrem rynków krajów nadbałtyckich.

Ogółem za pośrednictwem Banku wyeksportowano zagranicę 216.185 ton cukru.

Co do innych operacyj Banku wypada zwrócić uwagę na znaczny wzrost dostaw nawozów sztucznych dla potrzeb rolniczych, a szczególniej popieranie zbytu produktów krajowych — Państwowej Fabryki Związków Azotowych w Chorzowie, przy równoczesnym ograniczeniu importu saletry chilijskiej. Wymienioną w sprawozdaniu za rok 1925-ty sumę Ł 6.942.300.—.—, wniesioną do Banku Polskiego z operacyj kredytowych i handlowych z zagranicą. Bank powiększył w roku 1926-tym do sumy Ł. 8.463.300.—.—,

Z operacji założycielskich Banku zasługuje na podkreślenie fakt wzięcia udziału w kapitale zakładowym Brytyjsko-Polskiego Banku Handlowego w Gdańsku, powołanego do życia przez Bank Gospodarstwa Krajowego, oraz założenie w Gdańsku, przy Bałtyckim Banku Komisowym—placówki dla eksportu melasu i wytłoków pod firmą „Polski Eksport Melasu" *(Polish Molassas Company)*. Placówka ta spełnia swe zadanie ku zadowoleniu zainteresowanych sfer cukrowniczych.

Bilans Banku Cukrownictwn na dzień 31.XII.1926 r. zamyka się ogólną cyfrą Zł. 112.508.813,10, i czysty zysk stanowi Zł. 1.916.820,06.

Z zysku powyższego po dokonaniu odpisu na kapitał zapasowy, rezerwy podatkowe i t. p. Walne Zebranie przeznaczyło na dywidendę 4 proc. oraz na superdywidendę 8 proc.

Mając na względzie stały rozwój operacyj Banku, Walne Zebranie postanowiło podwyższyć dotychczasowy kapitał Zł. 4.800.000.— do 6.000.000 drogą wypuszczenia 12.000 sztuk akcyj 100-złotowych na okaziciela, przy cenie emisyjnej Zł. 110.

Prezydjum Rady Nadzorczej Banku Cukrownictwa stanowią pp.: Józef Żychliński—prezes, oraz vice-prezesi pp.: Stanisław Karłowski, Stanisław Turno i Jan Zagleniczny.

Zarząd Banku stanowią pp.: Leon Brzeski, Władysław Demby, Leopold Hebda i Bolesław Mikulski.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł.9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI — Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. — PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM